Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Po[...]eści

ILUSTROWANY TYGOD[...] [...]LA WSZYSTKICH

Rok VII. Niedziela, dnia 13 sierpn[...] Nr. 33



MARIA HEMPEL-GIERDAWA

19)

Wariatka

(Dokończenie)

— Wyobraźcie sobie, moi państwo — zabrała głos w pewnej chwili pani Dobrzaniecka — jaka przykrość spotkała mnie onegdaj w mojej pracy dla naszego Towarzystwa.

— Cóż się stało? — pytano zewsząd z zaciekawieniem.

— Naturalnie chodzi o panią Stefanię Rolską...

— Ooo... to już na pewno będzie jakaś dobra historia! — zawołała z uśmiechem jedna z pań.

— Tak, właśnie. Dobra historia ale jednak bardzo dla nas smutna...

Roman, który wraz z swą żoną był tam obecny, zmarszczył nieco brwi i czekał na opowiadanie, nie biorąc udziału w ogólnej wesołości.

— Otóż onegdaj udałam się do pani Stefanowej raz jeszcze, mając nadzieję, że jednak uda mi się wreszcie wciągnąć ją do naszej pracy... Poprostu czuję odpowiedzialność ciążącą na mnie za to, jeśli która z nas nie pracuje społecznie — tu spuściła skromnie oczy, podczas gdy wśród zebranych przeszedł szmer uznania i zachwytu dla jej „samozaparcia i niezmordowania".

— Prosiłam, aby zechciała przybyć dzisiaj na to nasze zebranie. Odmówiła wręcz.

— Niemożliwe!...

— Niesłychane!...

— Byłam u niej kilkakrotnie, kwestując na ten czy inny cel. Owszem, nigdy nie odmówiła ofiary, ale ostatecznie sam takt i dobre wychowanie wymagałyby oddać mi wizytę... Dzisiaj miała świetną okazję do naprawienia poprzednich nietaktów. Ale nie.

— Cóż odmówiła?

— Powiedziała, że przede wszystkim nie ma czasu na „przelewanie z pustego w próżne"...

— To już zakrwawa na impertynencję!

— zawołał ktoś z oburzeniem, a wszyscy przytaknęli głośno i z ożywieniem. Opowiadanie stawało się sensacyjne.

— Ładnie wyglądali by nasi biedni bez tego „przelewania" oburzyła się pani Romanowa.

— No i co dalej? — pytano. — Co dalej?

— Dziwna ta osoba powiedziała mi następnie (pani Dobrzanieckiej wystąpiły rumieńce na twarz) — że nie może należeć do naszego Towarzystwa dobroczynności, bo nie potrafi z dobroczynności i z biednych robić sobie tualety!...

— Tualety?! Nie, to przechodzi wszelkie pojęcie!

— Ależ to jest osoba bez taktu i źle wychowana!

— Bez poczucia obowiązków społecznych!...

— Dziwaczka jakaś, czy wariatka!

— Bardzo pięknie, ale powinna pamiętać o tym, że jest osobą z towarzystwa!...

Sypały się zewsząd głosy pełne szlachetnego oburzenia. Ktoryś z panów podszedł do pani Dobrzanieckiej i całując ją w rękę robił wrażenie człowieka, składającego wyrazy współczucia i ubolewania.

Roman uśmiechnął. się pod wąsem. Znał te powiedzenia Igi, znał jej poglądy. Widział ją w tej chwili w wyobraźni tak żywo, jak gdyby tu przed nim stała.

— Ale to jeszcze nie wszystko! — podjęła pani Dobrzaniecka — dała mi jeszcze dobrą radę: niech panie wszystkie — powiedziała mi — popracują trochę na tym, aby się zapoznać z nauką Chrystusa.

— Nie! To już jest ponad wszystko!...

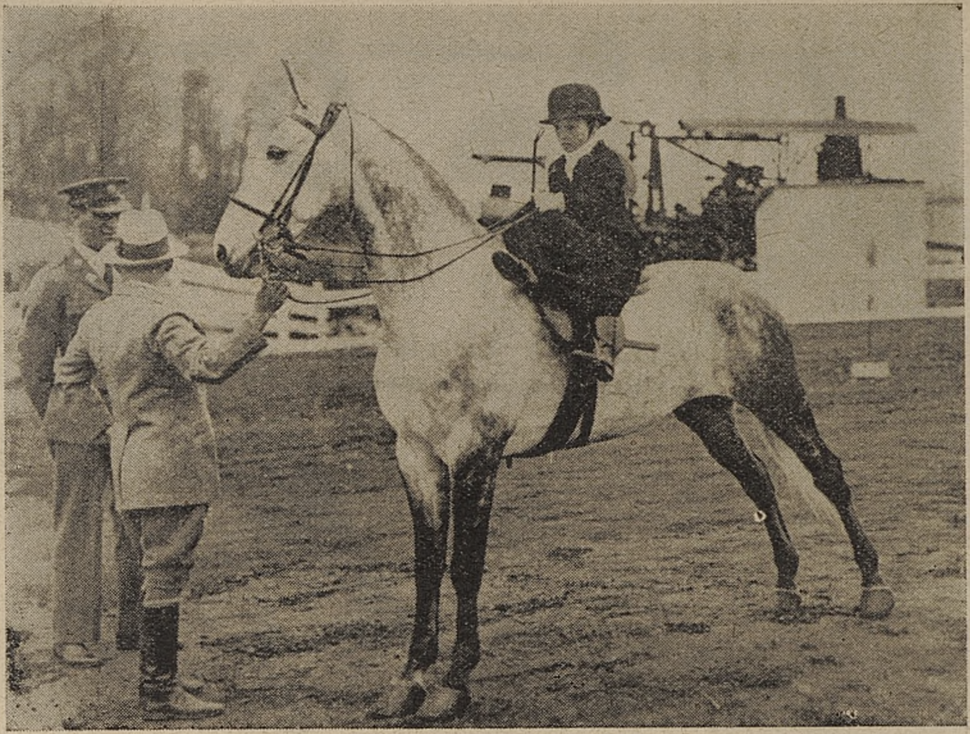
— Ależ to jakaś niepoczytalna osoba! Nienormalna!

— Nam dawać takie rady! Nam, którzy na każdym kroku akcentujemy naszą wierność Kościołowi!...

— Podziwiam pani świętą cierpliwość, że wogóle pani rozmawiała z tą osobą...

— Ano, cóż! przyjemnie nie było... Ale czego się nie robi dla sprawy... Miałam nadzieję, że jednak ją skaptuję, że będzie z nami ręka w rękę pracować... Zresztą — i to jeszcze nie wszystko... Właśnie w trakcie mojej wizyty, służąca wpuściła do przedpokoju jakąś obdartą babinę. Widziałam ją przez drzwi. I proszę sobie wyobrazić pani Stefanowa wyszła do tej interesantki natychmiast, coś jej tam dawała, o coś się wypytywała, coś zapisywała, trwało to dosyć długo, a po tym, gdy wróciła do mnie, przeprosiła mnie za pozostawienie mnie samej, twierdząc, że jednak raczej ja mogłam poczekać, aniżeli ta jakaś tam kobieta, bo jest biedna, zmęczona i spracowana, więc nie może jej kazać wyczekiwać...

— Nooo! to już wyraźny afront. Ostatecznie, czułe serce — czułem, sercem,



Mała Amerykanka dosiadła wysokiego konia, lecz jak widać, minę ma niezbyt pewną.

Już w jednym z najbliższych numerów rozpoczniemy druk niezwykle ciekawej powieści obyczajowej młodej utalentowanej autorki HALINY SZRANTÓWNY pt.:

KOLEŻANKI

Powieść czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem od początku do końca, śledząc z uwagą losy kilku młodych istot poprzez ich życie, tak różnorodnie kształtujące się na tle współczesnych warunków bytu.

Autorka porusza aktualne problemy życiowe, pasjonujące współczesne pokolenia, na które patrzy oczyma bezstronnego i sumiennego obserwatora.

Ten fragment wycięty wprost z życia skoncentruje na sobie zainteresowanie wszystkich czytelników.

Pamiętajcie — już w jednym z najbliższych numerów!

NA OKŁADCE:
Wspaniała kreacja balowa na zielony karnawał, wykonana z tiulu i koronki.

ale nie można zapominać o elementarnych zasadach wychowania. A zdawałoby się, że ta osoba z dobrego gniazda pochodzi...

— Nie można wogóle zadawać się z tego rodzaju dziwolągami. Bóg wie na co mogą człowieka narazić...

— Mamy nadzieję, że to już była ta ostatnia kropla, i że pani wreszcie opuściła dom tej pani? — zapytał ktoś z gości.

— Tak, tak. Na prawdę każdy nerw we mnie drżał. Wyszłam. Nie, nie mogłam dłużej. Pani Rolska zatrzymała mnie jeszcze chwilę, aby mi dać czek na naszych biednych...

— Uhm... uhm... — uciszono się na chwilę.

— Czek na pięćset złotych.

Cisza.

— No tak — rzekł jeden z panów — bardzo piękna ofiara, ale jakże wielkim wysiłkiem okupiona z pani strony! Pani więc przede wszystkim należy się za to podziękowanie, więc myślę, że będę wyrazicielem wszystkich tu zebranych, jeśli złożę gorące podziękowanie naszej niestrudzonej i ofiarnej prezesce w imieniu naszych nieszczęśliwych biednych.

Wszyscy pełni głębokiego wzruszenia poruszyli się w nagłym gwarze wyraźnego etuzjazmu. Każdy czuł się w obowiązku podejść do pani Dobrzanieckiej, uścisnąć jej ręce i wyrazić podziw dla jej wielkiej pracy i wielkich wysiłków.

Pani Dobrzaniecka wzruszona do łez dziękowała wszystkim, pełna anielskiej skromności, zaprzeczając słuszności wypowiedzianych pod jej adresem komplementów.

Gdy się towarzystwo po tej wzruszającej manifestacji nieco uspokoiło, jedna z pań zapytała:

— Ale właściwie co ta pani robi? Nie pooddawała wizyt, więc nie bywa nigdzie; nie widziało się jej ani na balach, ani na rautach, nie bierze zupełnie udziału w życiu... Więc co ona właściwie robi, żeby nie mieć czasu na to rzekome „przelewanie z pustego w próżne"?

— Chodzi podobno na uniwersytet, składa jakieś egzaminy, pora się na zebraniach ze studentami i studentkami... Podobno jakieś niewyraźne typy ciągle schodzą się do jej mieszkania... Dziwaczka! Pomieszana! Czyż to odpowiada jej stanowisku społecznemu?

Raptem stało się coś nieoczekiwanego: oto młoda dziewczyna, siedząca cały czas nieruchomo, zerwała się teraz nagle z fotelika i zawołała głosem, jakim tylko młodość pełna szlachetnych porywów mówić umie:

— Ciociu! (zwrot był do pani Dobrzanieckiej), przepraszam, że niepytana wyrywam się w taki sposób. Ale nie mogę dłużej słuchać tego, co się tutaj mówi!

W salonie zapanowało głuche milczenie. Wszystkie oczy zwróciły się na młodą dziewczynę. Kilka pań podniosło face-à-main ruchem pełnym zaskoczonej godności.

Dziewczyna, jasna blondynka, ładna i smukła, stała w płomieniach własnego oburzenia. Oczy, jasnoniebieskie zwykle, stały się teraz prawie czarne i zdawały się sypać iskry. Twarz cała pałała jak w gorączce. Ręce kurczowo ściskały poręcz fotela.

— Nie mogę słuchać tego co się tutaj mówi. Nikt z państwa nie zna pani Jadwigi Rolskiej. A ja ją znam! Mam dla niej głęboką cześć, kult i zachwyt. Jej zawdzięczam, że wogóle myślę i że czuje tu — wskazała ręką — tu gdzie mam serce.

— Izo! W tej chwili się uspokój! Jak ty się zachowujesz! — przerwała jej pani Dobrzaniecka, czerwona ze wstydu za siostrzenicę, która tak fatalnie zachowuje się w salonie.

— Nie, ciociu. Nie uspokoję się. Muszę wszystko powiedzieć. Muszę! Niesprawiedliwie sądzicie państwo panią Rolską. Nikt tu z nas nie dorósł tej wyżyny, na której ona się znajduje.

Szmer oburzenia przeszedł po salonie. Pani Dobrzaniecka ruchem pełnym rozpaczliwej determinacji otarła koronkową chusteczką pot z czoła.

— Co ona robi?! Tak, ja państwu powiem, co ona robi: stworzyła i utrzymuje sierociniec dla trzydzieścioro dzieci, gdzie panuje duch idealnego chrystianizmu, podtrzymywany przez świętego człowieka księdza Jaczewskiego. Żadne towarzystwo dobroczynności nie prowadzi tak sumiennie, z taką rozumną myślą i głębokiem sercem niczego, jak ona ten sierociniec. Bo nie robi tego dla zabicia czasu, dla zabawy, dla próżności. Dalej: nie szczędzi majątku na żaden pożyteczny cel. Dalej: nie przejdzie obok żadnej napotkanej biedy, aby nie pomóc. Kończy prawo, które kiedyś dawniej zaczęła, bo chce pracować w sądach dla nieletnich...

— Osoba z wyższej sfery... w sądach...
— szepnął ktoś z niesmakiem.

— To będzie piękna, wielka ideowa praca. Na uniwersytecie w tak krótkim czasie potrafiła zawiązać stowarzyszenie pod hasłem: „Ewangelia drogowskazem" Mam zaszczyt być jej członkiem. Mamy odczyty, mamy odpowiednie książki, mamy zebrania. Składka członkowska — to dziesięć dobrych uczynków dla bliźniego miesięcznie. Kto się nie wiąże ze składki nie może być członkiem. Mamy już po tak krótkim czasie 125 członków! A będzie nas tysiące! tysiące!! Pani Jadwiga jest duchem naszego stowarzyszenia. Każden z nas dałby się za nią posiekać. Jesteśmy wszyscy weseli, pogodni, szczęśliwi. Tam dopiero dowiedziałam się na prawdę co to jest nauka Chrystusa. Nie nauczono mnie tego ani w domu, ani w klasztorze. Nigdy nie pozwolę w mojej obecności, aby ktokolwiek na panią Jadwigę Rolską powiedział choć jedno złe słowo. Nigdy!

Umilkła równie gwałtownie, jak gwałtownie zaczęła mówić. Stała wciąż jeszcze z pałającymi oczyma, z wypiekami na twarzy.

W salonie panowała grobowa cisza pełna konsternacji.

— Oto są rezultaty — odezwała się po dłuższej chwili pani Dobrzaniecka — jak panienka z towarzystwa, gnana nowoczesnymi prądami, idzie na jakieś uniwersytety i zadaje się z niewłaściwym dla siebie towarzystwem. Nie dość tamtej jednej wariatki, mamy już kandydatkę na drugą. Straszna rzecz, jak moralność upada, jak depce się najświętsze tradycje — załamała tragicznie ręce. — Dziś jeszcze napiszę do twych rodziców, aby cię stąd natychmiast zabrali na wieś, skończą się te wariackie fanaberie... Ale ile pretensji będzie do mnie, ile żalów za to wszystko!

— Mogą mnie zabrać. Ale nikt nie zdoła zagasić ognia, który we mnie płonie.

Pani Dobrzaniecka zamierzała coś odpowiedzieć, lecz słowa zamarły jej na ustach na widok Romana, który energicznie powstał z krzesła ze zdecydowanym wyrazem twarzy. Zwrócił się do młodej dziewczyny:

— Droga panno Izo. Uprzedziła mnie pani swym gorącym przemówieniem. Wiem równie dużo o pani Jadwidze Rolskiej, jak pani. Pięknie i szlachetnie postąpiła pani, wstępując w jej obronie. Nie ująłbym ani słowa z tego co pani powiedziała. Ma pani rację, całkowitą rację. Życzę wam powodzenia w waszej ideowej pracy. Wszystko to jest porywająco piękne.

Podszedł do Izy i pocałował ją z szacunkiem w rękę. Stała onieśmielona i zawstydzona teraz.

— Żałuję tylko — ciągnął dalej — że niestety, jabym tego wszystkiego nie potrafił...

— Jeszcze jeden szalony... — szepnęła rozpaczliwie pani Dobrzaniecka i dodała głośno:

— Całe szczęście, że m y t a k n i e p o t r a f i m y !

Osłabła z nadmiernego wysiłku nerwowego i wnet wszystkie panie, zapominając o Izie, otoczyły ją kołem, troskliwie cucąc i dodając otuchy serdecznymi słowy, pełnymi współczucia.

KONIEC.



Delegacja Polonii amerykańskiej ofiarowała Panu Prezydentowi Rzpltej sztandary wszystkich stanów Ameryki Północnej, w sktórych zamieszkują Polacy.

Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

Morton jednak nie mógł się w ciągu całego tego dnia uspokoić i wciąż sobie wyrzucał, że zachował się nie tylko nieprzyzwoicie, ale wprost skandalicznie, a cały jego postępek kwalifikuje się do rzędu gruboskórnych świństw.

— Popełniłem grube świństwo, Fred — mówił do przyjaciela, gdy już byli w drodze — powiedz, że popełniłem świństwo.

— Ależ bynajmniej, René, nie zrobiłeś nic nadzwyczajnie złego — bronił go Thompson.

— Nie kręć, jak liszka. Nie chcesz mi zrobić przykrości i dlatego...

— Daję ci słowo, że nikt o to nie ma z nas do ciebie żalu. Zapytaj Danieli.

Morton szedł czas jakiś jeszcze w milczeniu, rozważając swój wczorajszy postępek, a następnie zbliżył się do Danieli i zagadnął ją na ten temat.

— Nie ma się czym przejmować, monsier René — odpowiedziała mu ze śmiechem. — Co było — przeszło i nie powróci więcej. Drugi raz nie urznie się pan tak klasycznie tą gorzałką, prawda?

— Ach, madame, będę czuł jej niesmak w ciągu wielu dni jeszcze.

Tego dnia szli wszyscy wytrwale aż do południa i po drodze udało im się zerwać na polu trochę owoców, które pokrzepiły ich znacznie. Ale gdy znowu ruszyli dalej, już do samego wieczoru nie spotkali po drodze nic takiego do jedzenia, co mogłoby ich pożywić. Szli więc osowiali i przygnębieni, a w dodatku musieli czuwać, aby nie spotkać się gdzie oko w oko z pátrolem japońskim. Pod wieczór musieli wyminąć szerokim kręgiem jakąś większą osadę, w której z daleka dostrzegli błyska bagnetów na karabinach. Może to nawet nie byli Japończycy, może to byli Chińczycy, albo bandyci chińscy, ale nie chcieli ryzykować.

Trzecią noc przespali na gołej ziemi i pod otwartym niebem. A potem nadeszły już dni wprost straszne. Byli tak wygłodniali i wynędzniali, jakby nie wędrowali przez miejscowości zaludnione, ale pustynię Gobi. Całe szczęście, że mieli chociaż po drodze wodę, która gasiła ich pragnienie. Tym zapewne jedynie różniła się ta okolica od prawdziwej pustyni.

Ale siódmego dnia od wyruszenia z Pekinu, zaczęły się dopiero ich nieszczęścia. Pierwsza zachorowała na jakąś nieznaną chorobę Fusu-Ko. Jeszcze w południe była zdrowa i nie skarżyła się na żadne dolegliwości, a już wieczorem położyła się na ziemi i rzęziła ciężko, jakby zaraz miała skonać.

Wszystko ją bolało i sama nie wiedziała dokładnie co jej dolega. Postawali nad nią bezradni ze zwieszonymi głowami. Fusu-Ko utkwiła swoje duże dżetowe oczy w niebie i leżała nieruchomo, chwilami tylko wykrzywiając usta z bólu i rzęziła tak strasznie, że Daniela zatykała sobie uszy.

— To jest okropne — powiedziała z wysiłkiem — co jej mogło się stać?

Morton przyklęknął przy chorej, wpatrywał się w jej twarz i oczy i w pewnej chwili odskoczył nagle, ogromnie przerażony.

— Cholera, straszliwa azjatycka cholera! — zawołał jakimś dziwnym głosem.

— Ależ René, skądże ona mogła się wziąć między nami? — zaprotestował lekko Thompson. — To jest niepodobieństwo!

— Nie, nie, ja się nie mylę, na pewno się nie mylę. Widziałem w Szanghaju setki ludzi zmarłych na tę straszną zarazę. Spójrzcie tylko na twarz Fusu-Ko! Widzicie, jak puchnie prawie w oczach całe jej ciało?



Śp. inż. Adam Karpiński, kierownik polskiej ekspedycji w Himalaje, który wraz z śp. inż. Stefanem Berdzikiewiczem zginął tragicznie przysypany lawiną w grupie lodowca Mlan.

Tak, tym razem nie można się już było mylić, to była cholera. I nie dziwne też było, skąd ona się wzięła wśród nich tak nagle. Cholera azjatycka nie jest bynajmniej zjawiskiem rzadkim. Powstaje ona nawet w czasie pokoju w wielkich skupiskach ludzkich tak często, że przyjmuje się ją jako rzecz zwyczajną i powszechną. Surowe owoce — melony, ogórki i inne i woda pita zewsząd, gdzie się ją znajdowało — to były najpierwsze przyczyny jej powstawania.

Troje ludzi białych stało teraz nad umierającą kobietą, nie śmiejąc podejść do niej z bliska i nawet trzymając się zawsze za wiatrem, aby odór rozkładającego się już zapewne ciała i toczonego przez zarazki choleryczne — nie zaleciał ich i nie zaraził.

— Ona musiała już być chora od paru dni — zdecydował Morton — przecinkowiec toczył już jej tkanki, a teraz, to już agonia, koniec.

Słowa René'go sprawdziły się niebawem. Fusu-Ko umarła. Należało ją pogrzebać i nie zostawiać jej na wierzchu. Jak się do tego zabrać? Obawiali się dotknąć jej, aby się nie zarazić. Zdecydowali więc w końcu, że naniosą w płaszczach ziemi i zasypią ją nią. Lepsze to było, niż zostawianie zwłok na pastwę dzikich zwierząt.

Od chwili zgonu Fusu-Ko, zdawało się co najmniej dziesięć razy, że i na pozostałych nadejdzie godzina ostatecznego wyzwolenia. Wlekli się już teraz ostatnim wysiłkiem, potykając się i padając co parę kroków. Nie byli to już prawie ludzie, ale cienie ludzi dawno pomarłych.

Siódmego dnia pod wieczór Daniela padła na ziemię i oświadczyła, że nie ma już więcej ani odrobiny sił i nie pójdzie dalej.

— Podeprzemy cię, Danuś — ofiarował się Fred — i jakoś dociągniemy do Paoting, które znajduje się na naszej drodze. Tam pewnie nie ma jeszcze Japończyków, tam znajdziemy pomoc i wypoczynek.



Polskie bociany w stacji doświadczalnej w Heslemere w Anglii, skąd wypuszczono je do lotu. Jak dotychczas badania wykazują, bociany nie mają ochoty do powrotu do Polski.

— Nie, nie ruszę się z miejsca, zostawcie mnie samą i idźcie dalej — upierała się Daniela, nie mając naprawdę sił ruszyć dalej z miejsca.

— Madame, niech pani wypocznie chwilę, a później pomnożemy pani w drodze.

Usiedli wszyscy i odpoczywali. Wielki księżyc płynął wysoko nad nimi i zdawał się dziwować ludziom białym, którzy zawędrowali aż w te strony, szukając szczęścia na olbrzymim kontynencie Chin, poszarpanych przez własne wewnętrzne rewolucje i najazd japoński.

Gwiazdy mrugały wysoko na niebie, a z głębi dalekiej Gobi wiał wiatr suchy i gorący, rozwiewając nawet mgły, które były z wieczora przy ziemi, a teraz zniknęły gdzieś bez śladu.

Dokoła panowała cisza i spokój tak wielki, że wydawać się mogło, iż cisza ta jest pełna lęków i trwogi i jest odwieczna i zawsze groźna, a może nawet groźniejsza od wrzawy bitewnej.

Ale naraz do znużonych i przytępionych uszu trojga ludzi, prawie już dogorywających na tym osamotnionym wzgórzu, na którym się znajdowali, doleciało niewyraźnie jakby jakieś warczenie. Pierwszy podniósł głowę Morton i zaczął nasłuchiwać, bo w pierwszej chwili wydało mu się, że to jest tylko zwykłe złudzenie, wywołane skutkiem zmęczenia i głodu. Ale nie, warczenie to powtórzyło się znowu, aby za chwilę na nowo przycichnąć. Morton zamienił się cały w słuch. Potem trącił Thompsona i nie powiedział nic.

— Cóż to za odgłosy? — powiedział słabym głosem Fred.

— Nie przerywaj, Fred — odpowiedział Morton.

Daniela, która leżała dotąd bezwładna i tylko ciężko oddychała, próbując zwilżyć zeschłe wargi nie mniej zeschłym językiem, podniosła trochę głowę z nad ziemi, ale niebawem opuściła ją z powrotem. Stanowczo nie miała sił na podźwignięcie się, nie miała sił nawet na to, aby się zainteresować tym, czym interesowali się obaj mężczyźni.

A warkot niewidzialnego motoru zwiększał się z każdą chwilą i stawał się bliższym ludzi, którzy siedzieli zasłuchani w niego. Teraz już nie wątpili, że słyszą gdakanie motoru samochodowego, który pchał wóz gdzieś nie bardzo daleko od nich.

— Jeżeli to będą nawet Japończycy — wyraził opinię Morton — nie uczynię nic, aby się bronić. Nie mam sił na to. Wolę już niewolę japońską, ale sytą, niż głodną wolność.

— A ja nie chcę nawet sytej niewoli — sprzeciwił się Thompson i, wyciągnąwszy się na brzuchu, podłożył sobie płaszcz zwinięty w kłębek przed sobą i oparł na nim karabin lufą w stronę spodziewanego przeciwnika.

Czekali tak jeszcze może godzinę i oto gdzieś zza odległego wzgórza wyłoniło się długie światło reflektora i koniuszkami swymi dobiegło prawie do nich.

— Samochód!

— A samochód! — przytaknął Morton.

— Japoński?

— Niech będzie nawet szatański, byle nam pomógł i nakarmił.

Daniela podniosła się i usiadła. Na samo słowo „samochód" przybyło jej już sił na tyle, że mogła usiąść.

— Co się dzieje, Fred?

— Jakiś samochód nadchodzi — odrzekł, nie odwracając głowy i w dalszym ciągu pilnie wypatrując, do kogo ten zbawczy wóz należeć może.

— Fred, nie waż się strzelać — powiedział René.

— A to niby dlaczego?

— Ten wóz musi nam przyjść z pomocą.

— A jeżeli to wóz japoński? — podsunęła Daniela. — O, za nic na świecie nie chcę znowu wpaść w ręce tych ludzi!

— Słyszałeś, René?



Wierzba

Hej, — tam nad brzegiem sinawej toni,
Gdzie przestrzeń wód się rozlewa,
Prastara wierzba gałązki kłoni,
I swą odwieczną pieśń śpiewa.

Po nad nią wichrów suną zastępy,
Pędząc chmur zwały bezładnie,
Rwą je w ponure, ogromne strzępy,
Rzucając grozę wszechwładnie.

Po nad nią tkały melodie życia,
Lat długich przeszły szeregi,
Wichrem gonione wszystkie dni bycia,
Szarugi, deszcze i śniegi.

Hej! Lata całe jej nie ugięły,
Stoi wciąż silna, wspaniała,
Chociaż dni ciszy dawno minęły,
Choć pora ciężka nastała.

Ona śni może o wiośnie nowej,
Na przyszłą już czeka wiosnę,
By znów z fujarki srebrno - wierzbowej
Zabrzmiały pieśni radosne.

Al. Chlebowska.

Morton nie odpowiedział. Dopiero po paru minutach, gdy samochód już był doskonale widoczny w świetle księżyca i gwiazd, odezwał się:

— Wiecie co, możemy ominąć niebezpieczeństwo, nie narażając się.

— W jaki sposób?

— Zejdźmy na bok i z ukrycia zobaczmy, kto to nadjeżdża?

— Dobrze.

Zabrali pospiesznie manatki i zesunęli się ze wzgórza do zagłębienia na uboczu, skąd mogli zupełnie swobodnie obserwować nadjeżdżających.

Siedzieli w tej kotlinie milczący i nieruchomi, jak te kamienie, które ich otaczały. Mijały minuty długie jak wieki, a samochód zbliżał się tak powoli, jakby zamiast kół poruszanych napędem mechanicznym, miał nogi żółwia. Trojgu ludzi serca biły teraz rytmem przyspieszonym, niespokojnym. Od tego — do kogo należy ten wóz — zależało w tej chwili ich życie i równie jak życie cenna wolność.

Wreszcie zbliżył się ten wóz na taką odległość, że mogli rozróżnić w nim siedzących ludzi. Nie posuwał się naprzód szybciej, jak pewnie dziesięć kilometrów na godzinę. I naraz stało się coś dziwnego. Thompson myślał, że Morton dostał nagle ostrego ataku szału. Oto wypadł ze swojego ukrycia i rzucił się w kierunku wozu z rękami wzniesionymi wysoko nad głową i wrzeszcząc jakieś niezrozumiałe słowa, jak skończony wariat.

Samochód się zatrzymał w odległości może dwudziestu kroków od ich ukrycia. René dopadł go i już ściskał rękę jakiegoś człowieka, a następnie odwrócił się do ukrytych towarzyszy i zaczął wołać:

— Fred, madame — chodźcie, chodźcie prędko! Eureka! Jesteśmy uratowani! To mister Sound! Hallo! Hallo! Hallo!... Hej, towarzysze, gdy znów do domowych powrócim pieleszy...

Istotnie był to mister Sound z całą załogą samarytańską, złożoną z trzech Chińczyków. Wymknął on się szczęśliwie z pościgu, dopadł Pao-tingu i w słusznym przypuszczeniu, że odbici od niego towarzysze będą potrzebować na pewno pomocy, zorganizował tę wyprawę.

XXXVIII.

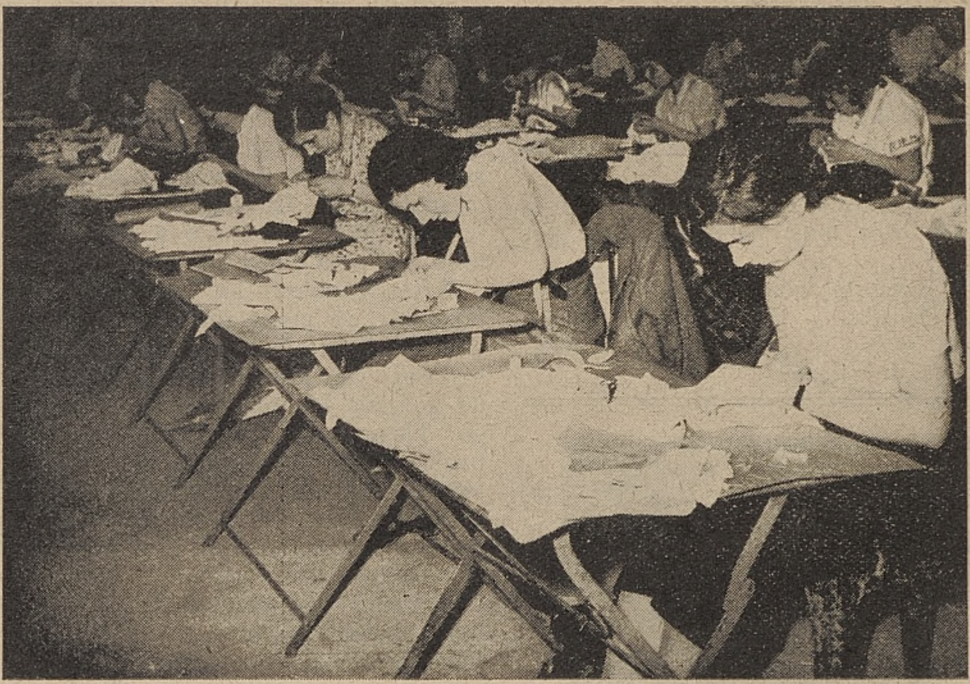
WIELKIE OKO SIECI

Kapitan Fawcet wypadł wielkim łukiem z łodzi, rozbitej granatem z kanonierki japońskiej i legł jak wór kamieni na piaszczystym wybrzeżu. Stracił przytomność i dłuższy czas nic nie wiedział, co się z nim dzieje. A gdy wrócił do przytomności, zwolna zaczął sobie uprzytamniać wszystko, co się stało. I równocześnie prawie pojął wprost z przerażającą jasnością, że jeśli posiedzi na tym piasku jeszcze z pół godziny, wszystko diabli wezmą. Siedział jednak nieruchomo dalej, kręcił głową, obmacowywał poszczególne kończyny, sprawdzając, czy nie jest co złamane i myślał o wypadku.

Zrozumiał go aż nadto jasno. Odłamek granatu z kanonierki musiał ugodzić Chińczyka z bombą i ta wybuchła. Ale nim to się stało, on wypadł z szalupy na brzeg. Może było tak, a może inaczej — jechał to sęk! — powiedział sobie Fawcet. Szkoda mi Corbina.

Podniósł się na kolana, ale głowa zakręciła mu się tak bardzo, że musiał usiąść. Odpoczywał jednak bardzo krótko, gdyż od strony portu i od strony kanonierek dochodziły go poprzez szum morza i wiatr jakieś oznaki niepokoju.

— Zaraz zacznie się polowanie — powiedział znowu kapitan i ponowił próbę powstania. — Oby ten Su-Feng domyślił się, oby zechciał być tak mądry, aby znaleźć się tutaj gdzieś w pobliżu. Jestem pogruchotany, jak stary garnek. I jeżeli nie uda mi się na czas znaleźć jakiegoś przyzwoitego schroniska, wpadnę w ręce



Egzamin midinetek paryskich, odbywający się po trzyletniej praktyce.

tych atanasanów szanownych i dostanę porcję ołowiu w mózg, dostateczny, aby go rozsadzić na drobniutkie cząsteczki. I nikt nigdy się nie dowie, co i gdzie stało się ze mną.

Znowu podjął próbę podźwignięcia się i tym razem udało mi się to. Ruszył na chybił trafił przed siebie, a po drodze trzymał rękę w kieszeni i ściskał papiery, jakie odebrał japońskiemu kapitanowi. Nie wiedział, co one zawierają, gdyż nie było czasu na ich przeglądanie. Ma czas. To nie jest w obecnych warunkach najważniejszym. Najważniejsze jest, jak się wydostać z tej matni?

Szedł wybrzeżem, nie orientując się zupełnie, gdzie idzie. Wiatr uderzał w niego tak mocno, że chwilami ledwie trzymał się na nogach.

— Su-Feng, o Su-Feng, gdybyś ty chciał być mądrym — myślał z niejaką nadzieją, że agent, który został na wybrzeżu, domyśli się może i zjawi tutaj, aby mu przyjść z pomocą. Ale Su-Feng nie zjawiał się, tylko jakieś kroki dały się słyszeć gdzieś opodal. Odszedł pospiesznie, jak to tylko mógł uczynić, na bok i czekał cierpliwie na przejście tego człowieka. Kroki ucichły, a przeszły one tak blisko niego, że człowiek, który je wykonywał, niemal ręką mógł go dosięgnąć.

Od portu dochodziły już pierwsze odgłosy wszczętego alarmu.

— No, za pół godziny japońskie psy gończe rozbiegną się tutaj i odnajdą mnie, jeżeli nadal będę tkwił na tym miejscu — powiedział sobie znowu Fawcet i powstał. Poczuł, że coś mu tam strzyknęło boleśnie w krzyżu, aż się musiał przygiąć do ziemi.

— Oh, jak boli! — jęknął. I chwilę stał tak przygarbiony, prostując się bardzo powoli, aby znowu nie wywołać tego drącego go po kościach bólu.

Zaczął iść ociężale, powłócząc nogami.

— Biedny Corbin — powtarzał w myślach — szkoda go. Był to dzielny chłopiec i bardzo by mi się teraz przydał. Oh, oh!..

Dokoła panowała obsolutna ćma i na krok niczego zobaczyć nie można było. Fawcet przystanął i odwrócił się twarzą na północ. Zobaczył tam teraz łunę świateł i pomniejsze światełka rozbiegane i drgające. Głosy już nie dochodziły do niego żadne.

— Szukają mnie — powiedział sobie znowu. — Niech szukają. Jeżeli mnie znajdą, nazwę się gorszym od pierwszego lepszego kulisa. A jeżeli uda mi się wymknąć przez jakiekolwiek oko z tej sieci olbrzymiej, będę sobie mógł pogratulować.

Po pewnym czasie doszedł do jakiejś śluzy czy też do jakiejś rzeki. Usiadł na jej brzegu i zaczął ostrożnie obmacywać dokoła teren rękami. Czynił to niezgrabnie i powoli, gdyż każdy gwałtowniejszy ruch ręki lub nogi, każdy większy wysiłek, wywołał gdzieś tam w jego kościach niesamowity ból. Zaciskał więc zęby aż do bólu i starał się robić swoje poszukiwania dalej, nie czyniąc jednak nadmiernych wysiłków.

W pewnej chwili spostrzegł, że jakieś światełka zdążają ku niemu. Przywarł więc do brzegu, rozpłaszczył się, jak szmata, starał się uczynić tak mienkim, jak papier, poprostu niewidzialnym.

— Jeżeli nie nadepną na moje kończyny — pomyślał — mogą mnie minąć i nie znajdą. A jeżeli jeden promień światła ich latarni padnie na mnie — jestem zgubiony.

Odwrócił się nogami do rowu i spuścił je na dół. Nogi dotknęły wody i zanurzyły się w niej. Była zimna, ale potłuczonemu jego ciału przyniosła znaczną ulgę. Światełka drżały tu i tam, a w mdłych blaskach widział ludzi, którzy szukali na wybrzeżu. Reflektory z kanonierek zgasły i światełka nawet na masztach tak jakoś zbladły, jakby i te pogaszono. Fawcet opuścił się głębiej do rowu i teraz wisiał prawie nad nim, pogrążony do połowy w wodzie, trzymając się kurczowo rękami cembrowiny.

Na morzu szum fal i wichru i całkowita ciemność.

— Jeżeli dobrze rozumiem się na tym — pomyślał kapitan — to kanonierki odjechały, powierzając rozwikłanie tajemniczego wypadku władzom lokalnym. Oznacza to, że sprawa musi być diabelnie pilna, skoro ci skośnoocy bohaterowie ruszyli w drogę przy takim sztormie. Gdzież to jednak ja się znajduję? Dałbym dziesięć dolarów temu, kto by mi to wyjaśnił. Oh, Su-Feng, Su-Feng, żebyś ty był mądry i domyślny, żebyś ty, chłopcze zjawił się tutaj.

Żołnierze myszkujący na piaszczystym wybrzeżu zbliżali się teraz do kapitana. Szli zygzakowato, skręcając to tu, to tam, ale nie mniej właśnie do niego się zbliżali.

— Do diabła, idą wprost na mnie! — mruknął Fawcet i zanurzył się już teraz głęboko w wodzie, aż po szyję. Równocześnie pomyślał: — Jeżeli nie skostnieję w tej wodzie za dziesięć minut, będzie to oznaczało, że dobry Bozia czuwa jeszcze nade mną i Diabutsi, chociaż taki podobno potężny, nie może mnie dosięgnąć. Zresztą, szanowny Budda nie umie prawdopodobnie chodzić. Jest leniwy, jak ostatni z kulisów i najchętniej lubi dumać na swoim kwiecie lotosu, myśląc o wszelkiej znikomości trosk, bólów, radości i szczęścia na tej biednej ziemi. Jest to jednak mądry człowiek i głęboki filozof. Woli uśmiechać się do swoich poddanych ze swojego kwiatku, niźli szwendać między ludźmi i przyglądać ich łajdactwu. Bo świat, niech tam sobie mędrcy opowiadają co chcą na ten temat, jest jednak bardzo zlajdaczony. I zawsze jest jednakowy, nigdy się nie zmienia. Doczesność triumfuje. Biedny Budda! Uśmiecha się tylko i zawsze, od wieków z jednakowym uśmiechem przyjmuje prośby i skargi, wyrazy radości i najgłębsze żale ludzkie.

Fawcet spostrzegł ludzi szukających na wybrzeżu nie dalej, jak dziesięć kroków od siebie i przywarł do szkarpy tak mocno, jakby chciał wtłoczyć głowę w twardę cebrowanie. Zaparł dech w sobie i cierpliwie czekał, aż się z tego miejsca oddalą. Ale żołnierze przystanęli właśnie tuż przy nim, odwróceni jednak tyłem do niego, a jeden z nich omal nie nadepnął mu na rękę. Rozmawiali o czymś, ale wiatr głuszył ich słowa i przenosił je wysoko nad kapitanem na drugą pewnie stronę tego rowu.



Przerwa w tańcu przyda się na poprawienie urody.

Trwało to niezbyt długo, ale Fawcetowi wydało się, że trwa całe tygodnie. Ręce mu mdlały, końce palców, wczepione kurczowo w cembrowinę zakrwawiły się, całe ciało, pogrążone w wodzie zdrętwiało tak gruntownie, jakby to nie było wcale jego ciało, ale zupełnie nie należące doń. Na szczęście żołnierze znów się oddalili, ale — o tragedio! właśnie w tę samą stronę, w którą zamierzał udać się kapitan. Gdyby poszedł za nimi, niewątpliwie spotkaliby się w jakimś punkcie, a wtedy — żegnaj najmilsza swobodo, żegnaj lube życie!

Postanowił więc trwać nadal w dotychczasowej pozycji, a może zjawi się jaki deus ex machina i wyrwie go z tej otchłani. Równocześnie nie przestawał myśleć o Su-Fengu.

— Jeżeli ty już jesteś taki tępogłowy, o, Su-Feng — powtarzał sobie w duchu — to niechże natchnie cię piękną ideą pomocy dla mnie maleńka Lou. Ona tam wszak siedzi gdzieś w jakimś zakątku portu i czeka na statek, który by ją przewiózł do Szanghaju. Niestety, ja pewnie pierwej skonam z zimna i bólu w tym dole, zanim doczekam się czyjejkolwiek pomocy. Widocznie szlachetny Budda w dobroci swojej wziął tym razem stronę swoich wyznawców i trzyma z nimi. Rzecz prosta, tak być musi. Zawsze przecie bliższa koszula ciała. O, niedobry Diabutsi! Dlaczego jesteś taki przeniewierczy! Wszak ja zawsze uważałem cię za szlachetnego. Czemu więc teraz zaprzeczasz moim wierzeniom?

Żołnierze tymczasem wrócili z poszukiwań i znowu minęli zawieszonego w wodzie Anglika. A Fawcet był już teraz tak zdrętwiały, że nie wyobrażał sobie, jak mu się uda wywindować swoje ciało na powierzchnię gruntu stałego. Ręce zastygły całkowicie, palce stały się jak haki, których nie można rozprostować. Spróbował jednak najwyższego wysiłku, aby wyciągnąć się na wierzch szkarpy, ale mu się to nie powiodło i zsunął się w wodę, zagłębiając się w niej z całą głową. Wypłynął jednak na powierzchnię znowu i gorączkowo zaczął szukać jakiegokolwiek wgłębienia w które mógłby wczepić zmartwiałe palce. Niestety, cebrowanie było gładkie i nie miało nigdzie najmniejszego wgłębienia.

— W tych warunkach pójdę na dno, jak worek napełniony kamieniami — przelatywało przez mózg kapitana. — O, Su-Feng, dlaczego jesteś taki tępogłowy! Dlaczego nie pomyślisz o tym, aby zjawić się na wybrzeżu i poszukać razem z żołnierzami? O, maleńka Lou!

Fawcet krążył po wodzie, rozgarniając ją ramionami szeroko i nie starając się już wcale zachować ciszy. Największy jego hałas nie mógł być słyszany wobec wichury i hałasów ludzkich w miejscu, gdzie została rozbita ich szalupa. Widocznie znaleziono tam na brzegu coś bardzo interesującego, gdyż setki światełek zgrupowały się teraz w jednej okolicy i panował tam ruch dość żywy.



Aparat radiowy z wbudowanym patefonem, do którego zamiast płyt użyć można dwźękowej taśmy filmowej. Aparat ten wystawiono na tegorocznej wystawie radiowej w Berlinie.

Kapitan był bezradny i liczył się już z możliwością opadnięcia na dno, ale nie dawał jeszcze za wygraną. Był uparty i gdy tylko pozostawała mu jedna szansa na sto do wygrania, zawsze dotąd próbował szczęścia i grał. Teraz również nie miał więcej, niż jedną szansę na sto, więc postanowił postawić ją na jedną kartę i zagrać va banque. Jeżeli mu się uda, będzie to znowu świadczyło na korzyść ludzi białych, a Anglików przede wszystkim, a jeżeli przegra...? Ha, głową muru nie przebijesz.

Ciężkie buty i nasiąknięte wodą ubranie ciągnęły go na dno, jakby był obciążony stufuntowym ciężarem. Nie było jednak sposobu pozbycia się tego balastu. Fawcet zrobił ostatni, ogromny wysiłek i pchnął się ku przeciwległemu brzegowi. I równocześnie zdziwił się, że dotąd nie przyszło mu to na myśl. Zamiast krążyć tam i nazad bez najmniejszej korzyści, a przeciwnie ze szkodą, gdyż pozwolił przemoknąć wszystkiemu na sobie na wskroś — czyż nie lepiej było odrazu skierować się na drugą stronę? Wzmocniony tą myślą zaczął pływać leniwie, jak ciężki stwór napełniony kamieniami, ku przeciwległemu brzegowi rowu. Nie zastanawiał się bynajmniej nad tym, że tam nie znajdzie może również żadnego wgłębienia i nie będzie mógł wydostać się na brzeg. Nie, to było, w jego teraźniejszym mniemaniu, zupełnie niepodobieństwo. To był tak wielki nonsens, że gdy przyszło mu to w końcu na myśl, prawie parsknął śmiechem.

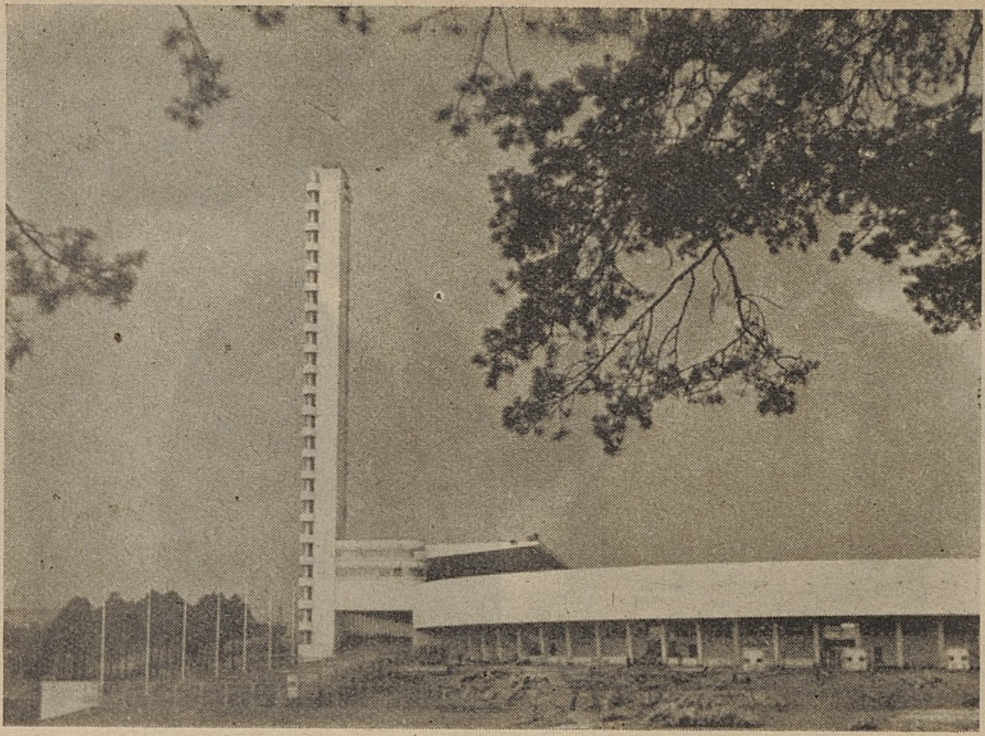
— To niemożliwe — powiedział sobie nawet — to jest właśnie ta jedyna moja szansa na sto. Opatrzność nie może trzymać zawsze przeciwko mnie. Jeżeli mam tylko jedną szansę, to ja tę szansę muszę wygrać. Przynajmniej jedną. Że wygrywam przez to dziewięćdziesiąt innych ?He? Na tym właśnie polega hazard. Gram raz, a wygrywam 99 razy tyle.

I tym razem Fawcet nie pomylił się w swoich wyrachowaniach. Kiedy bowiem udało mu się w końcu dobrnąć do przeciwległego brzegu, ręce jego dotknęły czegoś twardego, ale takiego, za co się mógł uchwycić. Podciągnął się nieco do góry i wyciągnął jedną rękę, aby zbadać przedpole i z radością stwierdził, że wylądował akurat na jakichś schodach drewnianych, prowadzących z wybrzeża do wody. Wyciągnął swoje ciało na suche miejsce i usiadł, spoglądając na przeciwległy, dosyć już oddalony brzeg, gdzie kręcili się ludzie i szukali tych, których on tam nie bez żalu zostawił, a których pewnie morze rozstrzaskało o brzeg, jeżeli w ogóle po wybuchach było co do trzaskania.

— O, Su-Feng, żebyś się ty w capa zamienił, a ja żebym był twoim rzeźnikiem — mruknął znowu Fawcet. — Już ja oprawiłbym cię, żółty bracie w Buddzie, jak przystoi.

Było mu diabelnie zimno, tak zimno, że nie mógł chwili utrzymać zębów w spokoju. Wypocząwszy więc, zwlókł się i wyszedł na brzeg.

— Jestem, jak się zdaje, na kanale cesarskim — pomyślał, przyglądając się z góry rzece, którą miał pod sobą. — A jeżeli tak jest, to nic łatwiejszego, jak pójść jego brzegiem w stronę przeciwną od Pien-Tsinu. Po drodze zabierze mnie może kto na jaką dżonkę i dostawi do Huaiking, a stamtąd dostanę się już koleją



Symbol olimpiady 1940 roku w Helsinkach — wieża przy wejściu na stadion olimpijski.

szczęśliwie do Kantonu, albo choćby tylko do Han-kou. Zawszeć tam bezpieczniej, niż na wybrzeżu, gdzie te małe diabły żółte czychają na mnie daleko zawzięciej, niż prawdziwi diabli z rogami na głowach. Ale jeżeli dam im się złapać, to niech się prędzej zamienię w jaskółcze gniazdo i służę za żer dla kulisów. Rzekłem.

Rozbitek ruszył naprzód wzdłuż kanału cesarskiego, zostawiając miasto i port za sobą, a równocześnie myślał o Corbinie, Su-Fengu i — maleńkiej Lou.

— Z tej kokietki paryskiej jest kawałek andrusa — roześmiał się w pewnej chwili, przyspieszając kroku, aby rozgrzać nieco mocno zziębnięte ciało. — Myślę, że dżepen nie zrobią jej nic złego. Umie tam ona doskonale dawać sobie radę i pewnie zwieje na czas.

Znowu przystanął, pragnąc zapalić papierosa. Ale przypomniał sobie, że wszystko przecie musi być przemokłe na szczęt i dał spokój. Roześmiał się nawet i poszedł dalej.

Już pierwsze błyski dnia rodziły się gdzieś daleko na morzu, albo i dalej, w górach Lao-tungu na Korei, gdy Fawcet dostrzegł gęste zarośla opodal kanału i postanowił zanurzyć się w nie, aby tutaj, kiedy słońce wyjdzie na niebo i stanie się ciepło — wysuszyć swoje manatki i wyspać się, opatrzywszy rany, jeżeli jego potłuczenia będą nimi i koniecznie będą tego wymagały.

Wlazł więc w zarośla i usiadł na ziemi, postanawiając czekać słońca. Nie czekał długo. W kilka minut później bowiem wypłynęło ono z morza, czerwone, jakby ociekające jeszcze wodą, w której się wykąpało i zaczęło szybko wznosić się do góry, uśmiechając się do ludzi i rzeczy i wyzłacając wszelką nędzę chińską. Nieco później kapitan poczuł, że zaczyna się rozgrzewać, a mokre ubranie paruje na nim. Zrzucił więc wszystko i w bieliźnie rzucił się na łoże usłane z mchów i trawy, zasypiając snem kamiennym natychmiast. Wszystko inne zostawił Opatrzności i... kamiennemu Buddzie, siedzącemu z wiecznym uśmiechem na ustach na kwiecie lotosu i zapatrzonemu we własny pępek.

Obudził się koło południa i natychmiast przypomniał sobie wszystko. Był wypoczęty, ale dolegliwości we wszystkich częściach ciała bynajmniej nie sfolgowały, ani też nie bardzo się zmniejszyły. Ale na to prawie najmniejszą zwracał uwagę. Był wolny, ot co! To było najważniejsze.

Ubrał się pospiesznie i ostrożnie wyjrzał z krzaków. Okolica była prawie pusta. Tylko w dali na północy dojrzał matę żagla na dżonce, która płynęła w jego stronę. Postanowił czekać jej przybicia tutaj, a może uda mu się namówić właściciela tej łodzi, by zabrał go do rzeki Huang-ho. Tam na przystani może trafi się jaka inna barka, czy dżonka, która podwiezie go w górę rzeki.

— W ostatecznym razie — powiedział do siebie kapitan, kładąc się na trawie z wzrokiem utkwionym w napływającą z daleka dżonkę — sterroryzuję Chińczyka i zmuszę go do zabrania mnie.

Leżał więc dalej na brzegu, patrzył w mętne wody kanału, to znów przenosił wzrok na dżonkę i snuł marzenia na najbliższą przyszłość. Papiery, jakie odebrał kapitanowi japońskiemu były jeszcze wprawdzie mokre i posklejane, ale nie chciał ich wcale przeglądać, aby nie zniszczyć. Natomiast wyjął rewolwer, oczyścił go i wytarł do sucha, a następnie położył przed sobą i czekał dalej.

Dżonka płynęła leniwie, jak zwykle wszystkie dżonki na tym kanale, nie śpiesząc się bynajmniej.

— Byłby głupi, gdyby się śpieszył w tym kraju, gdzie się nikt i nic nie spieszy — powiedział do siebie Fawcet.

I potem utkwił wzrok w dżonkę i towarzyszył jej tak długo, dokąd nie znalazła się nawprost niego. Wtedy powstał i krzyknął na człowieka, który stał przy sterze na rufie stateczku i długim drągiem kierował dżonką. Chińczyk usłyszał wołanie i zatrzymał nieruchomo drąg w rękach, a tymczasem spod zasłony, tworzącej rodzaj namiotu z uplecionych mat, wyszła maleńka kobietka i, nakrywszy oczy dłonią od słońca, patrzyła na brzeg. Potem powiedział głośno, wołając na człowieka na rufie:

— Su-Feng, hej, Su-Feng! Czy ty widzisz kto tam stoi?

— Kapitan, madame — odpowiedział tak samo głośno Su-Feng.

— Skieruj prędko dżonkę do brzegu.

I Fawcet poznał również tych ludzi: była to maleńka Lou i tak upragniony Su-Feng, którego daremnie wzywał kapitan w niemych prośbach przez całą noc.

— A więc — powiedział sobie z ogromną ulgą, wstępując na dżonkę — przecież się wymknąłem przez oko sieci. Dzięki ci, sprawiedliwa Opatrzności, uśmiechaj się wiecznie, szlachetny Buddo, zapatrzony we własny pępek.

XXXIX.

„MAŁŻEŃSTWO JEST STANEM POŚLEDNIM“

Maleńka Lou i kapitan Fawcet siedzieli pod zasłoną, chroniącą ich od słońca, a agent Su-Feng stał na rufie dżonki i pchał ją swym drągiem po kanale, nucąc od czasu do czasu tęskną piosenkę chińską, pełną liryzmu, piękna i rozmarzenia.

Dwoje białych rozmawiało. Z początku opowiadała Lou o tym wszystkim, co się działo owej krytycznej nocy, kiedy urządzili zamach na jedną z szalup z kanonierki.

— Tamci biedacy, którzy znajdowali się razem z panem — mówiła Lou — zginęli, porwani prawie na szczątki przez wybuch. Biedny Corbin! Nad ranem morze wyrzuciło na brzeg ich szczątki. Japończycy całą noc myszkowali w szerokim kręgu wybrzeża i w całym mieście i doprawdy dziwię się, że pana nie znaleźli.

— Uratował mnie szlachetny Budda — uśmiechnął się kapitan. — Obiecałem mu sto placków z najprzedniejszej mąki, jeżeli uda mu się uchronić mnie od pościgu. No i, zrobił to dla mnie.

— Dobrze panu żartować dzisiaj, ale gdyby pan był wtedy w mojej skórze, na pewno dostałby pan nieraz gęsiej skórki.

— O, za pozwoleniem, lady! Kiedy leżałem jak aligator w kanale, nie tylko miałem gęsią, ale chyba końską i to wygarbowaną na sobie skórę, tak zmarzłem. No, ale to tylko maleńka dygresja, proszę opowiadać, jak to tam było dalej.

— A no, czekałam wciąż wiadomości od Su-Fenga i siedziałam, jak na rozpalonych węglach. Niestety, Su-Feng nie miał możności zbliżyć się do mnie, gdyż przy każdym prawie nieznajomym stał albo agent tajny, albo policjant w mundurze, lub też w końcu żołnierz. Zaraz po zamachu otoczono cały dworzec portowy i przystąpiono do rewidowania wszystkich, ktokolwiek się tam znajdował. Ja siedziałam w salonie przeznaczonym dla kolorowych i

Ciąg dalszy na str. 653.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

W KLATCE

Uwięziona maleńka ptaszyna
W złotej klatce w oknie uczepionej,
Pod ciężarem bólu łebek zgina
I drży cała w tęsknocie szalonej
Za wolnością.. Wolności spragniona,
Mała biedna z smutkiem w oczkach kona.
Z piersi cicha piosnka popłynęła,
Drżąca skarga — ból, czy cierpienie,
Jak ostatnie bolesne westchnienie
I gdzieś w gwarnym świecie zaginęła..
A na świecie tak dużo dziś słońca,
Dzieci tak się radośnie znów bawią,
Wiosna w pełni cudna i pachnąca..
Ptaszka oczy białą łzą się mgławią.
Podniósł główkę i silnie uderzył
W złotej klatki druciki błyszczące,
W chwilę potem mały ptaszek nie żył.
— — — — — — —
A na świecie takie cudne słońce!

„Biały Wrzos".

DOBRE RADY PANI ZOFII

ODPOWIEDŹ DLA „KARYKATURZYSTY"

„Karykaturzysta". Wbrew niewdzięcznej opinii „pana w okularach", wyszydzającego ciekawie z białej kartki na moją pracę, stwierdzam, że list był ciekawy, miły, podobnież jak zajmująca jest karykatura autora tego listu. Mogę ją umieścić na szpaltach „Moich Powieści"? Sądzę, że cała „Krainka" oglądnie z zainteresowaniem fizjognomię pewnego młodzieńca „Karykaturzysty", który — jak pisze — „wszedł do tego wielkiego ogrodu „pseudonimów", usiadł na jednym kwiatku i siedzi cichutko". Zatem — czekam pozwolenia, a tymczasem serdecznie pozdrawiam.

Komunikat:

„Kto z Krainianek czy Krainiaków ma odwagę przysłać do mnie swoją legitymacyjną (wyraźną) fotografię, ja bezinteresownie przyrzekam odesłać w dowód przyjaźni portret powiększony (dowolny format), wykonany w akwareli lub graficie. Proszę wszystkich bez wyjątku, chcę z wakacji wyrugować nudy. Czekam!

„Karykaturzysta".

ZADOWOLONA JESTEM

„Zuch - dziewczyna". Kochana! Zadowolona jestem ogromnie, że wypoczęłaś należycie, a ubawiłaś się jeszcze więcej. Z reszty, co mi doniosłaś, też się cieszę, a tylko jedną mam maleńką wątpliwość, ale o tym już później.

Na razie całuję Cię serdecznie i zamieszczam komunikaty:

„Wszystkim „Krainiankom" i „Krainiakom" dziękuję serdecznie za życzenia i podarki imieninowe. Przyniosły mi dużo radości, a ja najbardziej cenię pamięć. Równocześnie dziękuję za pozdrowienie, przekazane na łamach „Krainy" i odwzajemniam.

Lusia Ł. Cudnie było u Ciebie i ciągle jeszcze facjatka nie zamyka mi się. Pozdrowienie dla „Władzy" i innych.

„Szukający". Za fotkę dziękuję i wiesz, zaczynam być zarozumiała, bo Twoich fotek mam już 3, a na pewno żadna z „Krainianek" takie szczęście nie spotkało.

„Carmen". Jesteś naprawdę prześliczną panienką, daj swe zdjęcie do „Krainy", a „Szukający" na pewno zaprzestanie poszukiwać.

„Maruta". Twój ból rozumiem, ale mam tylko jedne słowa: Wola Boska i Jej trzeba się poddać z pokorą!

„Księżniczka Henrietta". Dlaczego nie odwiedziłaś nas w Chałupach? Było wesoło i czekałyśmy.

„Wierzba na pustkowiu". Moje nazwisko brzmi inaczej i mieszkam w Łodzi, lecz choć przypuszczenia Pani minęły się z prawdą, proszę o list. Odpiszę na pewno!

„Smutna i brzydka Irka". Długo miałyśmy na siebie oko no i nareszcie! Myślisz, że rozpaczam, wcale! Zresztą najlepszym dowodem mój list!

„Obserwator I". Byłam w Gdyni i nawet chciałam się z Panem spotkać, niestety, poinformowano mnie, że Pan wyjechał. Słyszałam tylko, że Pan jest miłym i ładnym chłopcem".

KOMUNIKATY „TO-JA"

„Jadwiga Limba". Uznanie za wiersze i serdeczne uściski.

„Lucet". Szczere uznanie za powieść. Wyczekuję niecierpliwie następnej. Zasyłam Pani serdeczności.

„Biała Uajali". Tak lubię Twoją twarzyczkę zadumaną na tym szlaku tułaczym! Zasyłam Pani dużo ciepłych słów. Napisz, Kochanie!

„Irusia z Wołynia" ma na poczcie dużą paczkę całusów do odebrania. Śpiewaj dalej, miły Skowronku!

„Uśmiech Szatana". Nazwałabym Cię raczej „Kresową panienką" — tyle bowiem w Tobie zadumy i głębokich myśli pod pozorami buńczucznej i młodzieńczej swady. Uznanie za nowelę pod tyt. „Pielgrzym".

„Kalina". Oj, coś umilkłaś, miła Kalino! Tak dawno nie pokazałaś się na rewii! Czy piszesz może pod nazwiskiem?

P. J. Baranowski. Czarownie dzwonią gęśle poezji Pana! Są tak odrębne i tak głębokie w wyrazie! Czy nie pogawędzilibyśmy kiedy o tych przejawach, których pełne jest życie poety? Czy Pan zawsze trzyma się tak na uboczu? Powierzam przychylnej fali serdeczne pozdrowienie dla Pana i czekam na chwilę, kiedy fala odbije od brzegu...

Młodemu poecie „Ikarowi IV" posyłam dużo dobrych słów i uznania dla Jego utworów.

„Uranie"! Śpiewaj dalej swe słowicze pieśni i przyjmij uścisk dłoni. Czy nie domyślasz się, że „To-ja" i Z. B. to jedna i ta sama osoba? Dziękuję za wierszyk, chociaż go jeszcze nie czytałam.

P. M. Grzegorskiemu uznanie za wiersze, poświęcone Matce. Tyle w nich dźwięczy synowskiego uczucia!

„Te - Em". Wzruszający jest „Wędrowny kwartet" Pana. Posyłam Panu słowa zachęty do dalszej pracy i dobry uśmiech.

Wszystkich zrzeszonych w „Krainie" pozdrawiam serdecznie!

NOWA LECZ ZNANA „KRAINIE"

„Tęsknota z gór" wstępuje dzisiaj w progi naszej „Krainy", której znana już jest z „Teczki Wujka Janusza". Owiana czarem i samotnością gór pragnie wypowiedzieć wszystko, co ma w duszy i przejąć się wiarą w jaśniejsze życie, która wstępuje w nią przy czytaniu „Krainy". Słowa jej najlepiej oddadzą to, czego się po nas spodziewa, a czego — jak mogę zapewnić w imieniu całej „Krainy" — nie zawiedziemy:

„Czy znajdzie się ktoś, kto by sercem swoim rozwinął me uśmiechy nierozkwitłe, zmrożone zimnym tchnieniem wiatru, kto by me życie smutne rozjaśnił kilku promykami radości? — Jestem po 20-ce, szatynka o piwnych oczach, średniego wzrostu, ot taka dosyć do niczego. Jeśli moje wołanie z rubieży Polski znajdzie oddźwięk w którymś serduszku „Wielkiej Rodziny" — proszę o odpowiedź!

Pozdrawiam pokrewne dusze „Wierzbę na pustkowiu", „Wiedźmę z debry", „Szczęśliwą żonę", „Białą Brzózkę", „Irusię z Wołynia", „Ikara IV", a całej Rodzince — uściski od nowej siostrzyczki".

Przypuszczam, że nikt nie oprze się temu poetyckiemu wezwaniu naszej nowej „Krainianki".

ZAPRASZAM DO DALSZYCH GAWĘD

„Yoshimura". Miło mi było przeczytać Twój list pełen ciekawych informacyj o sprawach nas interesujących. Wyobrażam sobie, jak rośnie Ci dusza i duma rozpiera serce, gdy patrzysz na to własnymi oczyma: Tak, twarda postawa, nieustępliwość, mocna wola zwycięstwa i wiara w nie — czynią swoje. Tym więcej, gdy czuje się wszędzie, na każdym kroku, zgodny rytm milionów serc. — Listy przekazałam.

Zapraszam do dalszych gawęd i ściskam mocno Twoje dzielne dłonie.

„Stefci" dziękuję za pocztówkę wysłaną do Gdyni. Nie odpisałam, gdyż podjąłem ją po 24 czerwca t. j. po terminie dopuszczalnej odpowiedzi.

Nie zamieszczam komunikatów, gdyż nie chcę robić wyjątków, wszyscy są naprawdę bardzo mili i kochani w „Krainie", więc łączę całej „Krainie" serdeczne pozdrowienia

„Yoshimura".

DZIELNA Z CIEBIE OSÓBKA

„Jerychonka". Cieszy mnie bardzo, że nie zmarnowałaś lekkomyślnie roku szkolnego, lecz przeciwnie, zdobyłaś małą maturę i zdałaś egzamin do liceum.

Cieszy mnie ponadto to, iż nie tracisz dobrego humoru mimo, że nie masz nadziei na żadne specjalne urozmaicenia i przyjemności wakacyjne. Tak właśnie, a nie inaczej postępują młode, dzielne osóbki. A Ty przecież taką jesteś — Smyku Mały!

Łączę serdeczne uśmiechy i przechodzę do komunikatów:

„Obserwator I". Sądzę, że Pana znam. Czy nie był Pan w Łodzi?

„Skarabeusz". Serdecznie pozdrawiam!

„Hrabia Monte Christo". Pozdrawiam Cię harcerskim „Czuwaj"!

Całą „Krainkę" serdecznie pozdrawiam.

„Jerychonka".

O PROTEKCJĘ...

„Podoficer ze Śląska". Dziwię się niezmiernie, że chłopiec tak miły i tak dzielny, jak Ty — musi się do mnie zwracać o protekcję w „Krainie". Przedstawiłam Cię „Rodzince", a ona milcząco zaaprobowała nowego członka i na tym koniec?... Oj, już my się wkradniemy do serduszek naszego twardego rodzeństwa i zakręcimy nimi aż miło — niech nie próbują przemilczać naszej obecności w ich gronie. Po cichu wyznam Ci, że czuję, iż już teraz się do Ciebie odezwą. Życzę Ci, aby tak było i pozdrawiam serdecznie.

NIECH SIĘ WSZYSCY WYPOWIEDZĄ

„Carmen". Przyjemne są dla mnie Twoje wynurzenia na temat „Krainy" i doprawdy mogę im przytaknąć. Co zaś do powieści, to zdania są bardzo podzielone, tak że trudno z nich wysnuć jakiś konkretny wniosek. Ja osobiście bardzo byłabym zadowolona, gdyby wszyscy czytelnicy i „Krainiacy" zechcieli wypowiedzieć się w tej kwestii, daliby mi tym samym możność zorientowania się, jaka lektura najbardziej odpowiada ogółowi naszych czytelników i w konsekwencji okazję pójścia w wyborze następnych powieści po linii ich życzeń. Stwierdzić jednak muszę, że mało naszych czytelników zadaje sobie trud przedstawienia mi i wypowiedzenia swych ewentualnych życzeń. Może teraz, na skutek mej prośby wypowiedzą się liczniej — zobaczymy, czy się nie mylę w mych przypuszczeniach.

Łączę dla Ciebie serdeczne uściski i przechodzę do przedruku komunikatów:

„Czarna Maryno" i „Dyktatorze"! Z podziwem i z rozrzewnieniem myślę o tych wielkich duchach, dla których nie ma żadnej ofiary, tylko prosty obowiązek. Cześć wszystkim bohaterom!

„Zuch Dziewczyna". Ty nie masz pojęcia, jaka jestem zadowolona z poznania Ciebie, Smoku Kochany! Jestem ciekawa, jakie wrażenia wywiozłaś znad naszego Bałtyku? Ach, i pozdrowienia od p. Kon., który jest Tobą zachwycony.

„Dziew. z dal. Ojczyzny". Li, tak bardzo tęsknię. Jeszcze zawsze czuję radość z niespodzianki, którą mi sprawiłaś przyjazdem ze swoją przemiłą „bandą". Radość była ogromna z mej strony i tęsknota też! Może uda mi się do Częstochowy wyjechać razem z Wami. Pa!

„Przedwiośnie". Dlaczego tak przeraźliwie długo milczysz? Tak b. lubię i cenię Twoje mądre listy, a Ty niedobra każesz mi czekać w nieskończoność. Za co to, Kaziu?

„Sława". Cieszę się ogromnie, że nie jestem jedynaczką w „Kr." (z piegami). Jeżeli masz ochotę, to napisz, a z przyjemnością Ci odpowiem.

„Serpentynka". Śliczny masz pseudonim. Dużo się nie pytaj, tylko od razu napisz do mnie. Twój liścik na pewno będzie mile widziany.

Halo! Może ktoś z „Krainiaków" zna p. Radeckiego, (kończył politechnikę we Lwowie) wiem tylko tyle, że mieszkał przy ul. Abrahamowicza i w 1934 r. brał udział w „spływie kajakowców do morza".

Wiele serdeczności Pani Zosieńce i całej braci krainackiej zasyła

„Carmen".

KOMUNIKATY „TE-EMA"

„Wszystkim dziękuję za pozdrowienia i przesyłam wzajemne. „Banialuka" i „Zbijobruk" — napiszę, bo właściwie... ale, gdy będę jechał do Poznania (prawdopodobnie w sierpniu) to skrobnę i... chyba pogadamy... Łączę pozdrowienia i gratuluję! „Frasquita" — przepraszam, że nie będę mógł napisać pierwszy. Chętnie otrzymał bym od Pani list, na który zaraz bym odpowiedział. Od P. listu nie otrzymałem.

P. M. Grzegorski — dziękuję za wymienienie mego pseudonimu w swym wierszu. Wyrazy uznania i pozdrowienia!

Uznanie następującym osobom za następujące wiersze: Maria Krawczykówna („Do celu") „Zadzior" („Nie ten zna smutek"), Irena Leszczewska („Wiosna"), „Fides" („Nie osądzaj") „Jadwiga Limba" („Deszcz"), „Biała Uajali" („Pragnienia nasze"), „Siboney" („Myślę o tobie").

Za całokształt twórczości: A. Żurawskiemu, Anieli Wolnej, Zofii Boruckiej, Marii Zemmlerównie (nowele, wiersze), „Zairze", „Smutnemu Sztubakowi" za wiersz: „Ktokolwiek z was" specjalne uznanie od kolegi po fachu.

„Powieścianki" „Powieściacy" (nowe „wyrażonka") może byśmy poddali pod dyskusję taki projekt: Zebrać najlepszych autorów, najlepsze wiersze i złożyć w zbiorek. Wyda Red. „M. Powieści", a wszyscy kupią i będzie dobrze. Podajcie więc, jakich chcecie mieć autorów.

„Te-Em".

NIECODZIENNA WIZYTA

Dyskretne pukanie do drzwi, nad którymi widnieje maleńki szyldzik: „Kraina Moich Powieści".

— Proszę! — odzywa się głos z zewnątrz. Wchodzi młodzieniec lat około 25-ciu, średniego wzrostu, o bujnej czarnej czupurynie, z jasnym uśmiechniętym spojrzeniem.

— Czy mam przyjemność mówić z panią Zosią, redaktorką „Krainy"?

— Jestem we własnej osobie — odpowiada z uśmiechem p. Zosia. Proszę siadać... Czego Pan sobie życzy?

Wskazuje mu krzesło. Młodzieniec siada.

— Pozwolę się wpierw przedstawić. Jestem „Spragniony szczęścia".

— Bardzo mi przyjemnie.

Serdeczny uścisk dłoni.

— I co pana sprowadza w moje progi... w progi „Krainy" — indagowała dalej pani Zosia.

— Pragnę zostać pani sublokatorem. Wiem, że pani ma ich tu pełno, wszystkie pokoje są prawie zajęte przez tych ludzi szukających słońca, radości... Ale może i dla mnie znajdzie się jeszcze jakiś skromny pokoik... Bardzo prosiłbym z oknami wychodzącymi na lasy, na słońce... Jestem romantykiem...

— Znajdzie się... Bardzo się cieszę, że pan raczył do nas wstąpić i zamieszkać wraz z nami. „Kraina" chętnie każdego widzi i przyjmuje otwartym sercem.

— Dlatego też zdobyłem się na odwagę i... przyszedłem. Proszę się nie obawiać, kłopotu pani nie sprawię... Jestem przecież już nie dzieckiem, ale mężczyzną dojrzałym i nie żadnym ulomkiem... Dzięki Bogu liczę już lat 25 i jak pani widzi, zupełnie jeszcze nie brzydki... Brzydota mnie się nie trzyma — dodał z uśmiechem.

— A, widzę, widzę... Zapewne kobiety szaleją za panem?...

— O, to nie... Nie mam szczęścia do kobiet.

— Zbyt pan skromny.

— To nie skromność, ale naga rzeczywistość... Ale o tym, to potem...

— Słusznie. A teraz zawód pański, czy wolno zapytać?

— I owszem. Bujam po obłokach, marzę i tęsknię, a tęsknię za czymś nieznanym, dalekim, a tak bardzo nieuchwytnym. Jestem literatem, a ściśle mówiąc dramaturgiem. Przez usta bohaterów moich ze sceny mówi szczera prawda, uczę jak żyć trzeba i jak żyć się powinno, uczę kochać, miłować — uczę bohaterstwa, męskości i rycerskości — Niejednokrotnie wyśmiewam i piętnuję pewne słabostki u ludzi, tak często nieraz spotykane.

— Czy wyszły jakieś pańskie utwory drukiem?

— Dotychczas żadne jeszcze, brak mi na to funduszów. Ale nie przeszkadza to, aby nie były grane. Owszem, prawie wszystkie moje utwory sceniczne na tut. terenie były grane z nader wielkim powodzeniem. Ostatnio w marcu b. r. było grane moje misterium religijne w 4 aktach z ilustracją muzyczną i ze śpiewem p. t. „Oto ja Służebnica Pańska" z niebywałem wprost, jak dotychczas, powodzeniem bo... 6 razy z rzędu.

— Bardzo to pięknie! A inne pańskie zamiłowania? Proszę wybaczyć moją ciekawość, ale wiadomości te są mi bardzo potrzebne po to, abym mogła przedstawić je mej dużej „Rodzince".

— Służę pani... A więc, jak już wspominałem, jestem z „krwi i kości" romantykiem... A każdy romantyk, jak pani zapewne wiadomo, lubi pasjami muzykę, śpiew, bo wychodzi z tego słusznego założenia, że muzyka uszlachetnia. Człowiek poznaje swą duszę, odnajduje siebie i wchodzi w siebie... Muzyka czyni człowieka czułym na wszelkie dobro. Sam nawet gram na kilku instrumentach.

— O, to będzie u nas wesoło — zaśmiała się pani Zosia.

— Przynajmniej będę się starał, żeby było nam wesoło i miło, ale wątpię bardzo, czy mi się to uda. Serce me wszak rozdarte na strzępy, jak te struny u skrzypiec. Szukam bowiem szczęścia, słodyczy, przyjacielskiego uśmiechu, bratniego serca... ale wszystko to ode mnie jest oddalone i dziwnie nieuchwytne. Głodu mej duszy nie są w stanie zaspokoić ani me utwory, ani muzyka czy tańce i huczne zabawy. Tęsknoty mej nikt i nic nie jest zdolne przytłumić.

Proszę Pani, czy znajdę w jej „Krainie" jakieś bratnie, oddane serduszko, które by mi słonko sprowadziło do mego skołatanego serca?

— Zrobi się, mój drogi panie. Tylko trochę cierpliwości!

— Będę też czekał z ufnością. Ach, jak ja bardzo pragnę, by nastąpiło to jak najprędzej, bo ogarnął mnie żal do świata i zwątpienie w ludzi. Choć na zewnątrz świecę uśmiechniętym obliczem, jednak wewnątrz buntuje się we mnie wszystko... Młody jeszcze jestem, a już w życiu tyle doświadczyłem, tyle zaznałem podłości, tyle spotykałem ludzi o zimnych sercach.

— Mam wrażenie, że się to z dniem dzisiejszym już nie powtórzy... Zazna pan u nas dużo ciepła...

— Tego bym też gorąco pragnął.

— Pójdźmy zatem do pańskich współlokatorów. Przedstawię im pana i myślę, że bardzo się ucieszą.

— Myśli pani? No, to chodźmy. Koniecznie chciałbym się zapoznać z panią „Jadwiga Limba". Czy zechce ona? Jej piękny wierszyk z nr. 29 dużo mi przeróżnych nasunął refleksyj... Miejmy bowiem na uwadze, że wiersz jest odzwierciedleniem duszy. Czy zastanę ją jeszcze w „Krainie"?

Wstają i wychodzą spiesznym krokiem.

— — — — — — — — —

Po kilkunastu dniach wyjechał ów młodzieniec na urlop do pewnego przemysłowego miasta (na Pomorzu) i stamtąd przesłał dla miłych „Krainianek" oraz sympatycznych „Krainiaków" serdeczne pozdrowienia i moc uścisków. A osobne dla: „Jadwigi Limby" (czy pozwala Pani do siebie skrobnąć kilka słów?), „Blanki", „Zadziora", „Złotego Dzwoneczka", (oby mi wesoło dzwonił). Może Pani napisze do mnie?) — „Bogdy", „Młodego", „Oriona", „Czarnobrewy", „Kochanego Dziewczątka" i „Bajki".

Pod koniec prosił wszystkich o wymianę myśli.

„Spragniony Szczęścia".

NIE WPŁYNĄŁ

„Podolanka". Odpisuję na dwie Twoje pocztówki, Kochana. Jeżeli do tej pory nie otrzymałaś odpowiedzi na swój poprzedni list, to znaczy, że nie wpłynął on do redakcji, gdyż ja nie mam listów zaległych innych, jak tylko z lipca. Numer, o który Ci chodzi przesłała już nasza administracja.

Przypuszczenia Twoje, że może pogniewałam się lub zapomniałam o Tobie są błędne, bo lubię Cię zawsze i mile wspominam.

Proszę powtórz owe komunikaty, a chętnie je zamieszczę. Napisz mi też, co u Ciebie, Droga Moja, nowego i jak Ci upływają miesiące letnie. Pragnę, abyś miała w okresie „słońca i wody" dużo przyjemności.

Łączę serdeczności i zamieszczam komunikaty, wypisane na pocztówce:

„Czytelniczkę z Podola", „Maryleczkę" i wszystkie lwowianki mocno ściskam i całuję.

„Iuvenalisa" pozdrawiam.

Wuja Janusza pozdrawiam.

BACZNOŚĆ!

„Złośnica". Ucieszył mnie Twój list, Droga Dziewczynko, bo dowiedziałam się z niego, że zdałaś egzaminy i obecnie masz zasłużony odpoczynek. A na przyszłość proszę mi uważać, aby takie przymusowe kąpiele nie powtarzały się więcej.

Za zdjęcia serdecznie dziękuję — wykorzystam je przy okazji. Nie nawiązałaś dotąd korespondencji z „Rodzinką"? Zaraz postaramy się nakłonić naszych leniuszków do pisania.

Baczność! „Smutna i brzydka Irka" ma rozkaz ode mnie taki, że pisemnie ma odpowiedzieć na dzisiejszy komunikat „Złośnicy".

„Krzysia Leśniczanka" będzie nieznośnym brzdącem, jeżeli byle pozdrowieniem zbędzie serdeczności naszej kochanej „Złośnicy".

Ponadto całą „Rodzinkę" wzywam mocno do pilniejszej wymiany myśli z wszystkimi członkami „Krainy" bez wyjątku i ze „Złośnicą" także!

No, zwołałam i zachęciłam moich smyków do aktywności — zobaczymy jaki będzie skutek. Sądzę, że się poprawią. A Ty, czy podzielasz moje nadzieje?

Całuję Cię serdecznie i przechodzę do komunikatów:

„Smutna i brzydka Irka". No, nie pomyliłam się — jest Pani naprawdę bardzo dobrą, skoro nawet dla „Złośnicy" ma miłe słówko. Całuję serdecznie i pozdrawiam.

„Krzysia Leśniczanka". Zasyłam moc pozdrowień.

Dla całej „Krainy" uśmiechy.

W NUMERZE 30

„Cierniowa Dola". Kochana! Odpowiedziałam Pani na listy niedawno, bo w numerze 30 — czy znalazła już Pani tę odpowiedź?

Teraz odpisuję Pani na dwa listy i równocześnie przedrukowuję komunikaty. Pragnę niezmiernie, aby zdrowie Pani szybko wróciło do normalnego stanu i równocześnie proszę, byś przestała sobie czynić te niczym nieuzasadnione wyrzuty. Bóg nie tylko jest wielki, jest jeszcze niezmiernie dobry i nie karze ludzi za winy niepopełnione, ba! nawet za popełnione nie zawsze zmusza nas do pokutowania. Czasem wystarczy mu nasza szczera skrucha i postanowienie poprawy.

Co do wakacyj, to te już są poza mną. Wypoczęłam wspaniale, opaliłam się trochę i jestem pełna nowych sił i entuzjazmu do pracy. Wzruszyłaś mnie, Droga, swoimi projektami na przyszłość w związku z moją osobą — serdecznie dziękuję.

Co mi sprawia przykrość, to fakt, że w życiu Pani nie następuje poprawa na lepsze, ale może i to wreszcie z czasem przyjdzie.

Łączę serdeczne uściski i dobre uśmiechy.

Komunikaty:

„Roześmiane Oczy". Serdecznie dziękuję za miłe słowa i z serca życzę, by „Roześmiane Oczy" były stale roześmiane — nie zaznały co to łzy, a nawet mrok życiowy. Tak przywykłam do życia, którego wyobrażeniem jest mój pseudonim, że to pseudo nie wydaje mi

się nawet tak bardzo smutne. Proszę powiadomić Krysieńkę, że listy wysłałam 19 V. i 17 VI. br. Serdeczności dla niej zasyłam.

„Błyskawica". Czy byś nie zechciała przeciąć swym zygzakiem ciemni mego życia? Będę bardzo wdzięczna.

„Smutna i brzydka Irka". Z papierosem Pani będzie na pewno dobrze, ale obowiązkowo w tym stroju, w jakim się Pani ukazała w „Krainie". Jestem Panią zachwycona.

„Uśmiech Szatana". Dziękuję za miłe słowa i czekam na spełnienie obietnicy.

„Szczęśliwa Żona". Proszę przyjąć najserdeczniejsze pozdrowienia.

„Uran". Proszę nie zrażać się przeciwnościami — wytrwale poszukiwać pracy i wiele, a gorąco się modlić. A za wiersze proszę przyjąć moje szczere uznanie.

„Nieszczęśliwa Niniusia". Serdecznie Panią pozdrawiam i w myśl Pani słów zwracam się do „Młodego Lasu" z prośbą o kontakt korespondencyjny.

„Młody Lesie", znajdź u siebie pomieszczenie i dla „cierniowego krzewu".

„Gwiazdko" — może nawiążemy kontakt korespondencyjny?

„Lucet". Wiele myślę o Pani".

ZASTOSUJĘ SIĘ W PRZYSZŁOŚCI

„Wilnianka". Ach, Smykusiu Mój, jak Ty się ślicznie oburzasz na mnie! Miło mi przyjmować podobne wymówki. I możesz być pewna, że w przyszłości zastosuję się do Twoich życzeń, bo teraz jest to już niestety niemożliwe — byłam w Grodnie, ale nie miałam czasu na zorganizowanie projektowanych wypadów w jego okolice.

Czy masz mnie za wytłumaczoną i usprawiedliwioną? Nie wątpię w Twoje dobre serduszko i śmiało posyłam Ci słodkiego buziaka. Zdjęcie śliczne, czy mogę je zamieścić w „Krainie"?

Pozdrów proszę swoje Ukochanie i pogłaszcz specjalnie z mego konta „Ciapciusia" i „Szarą Eminencję".

Pisz i pamiętaj o mnie! Pa!

Komunikaty:

„Chochlik". Wiem, że zasłużyłam na metrową „reprymendę" — chwalić Boga nie tylko ja — bo i „Ariana" — a w kupie i „rugę" lepiej przyjmuje się. Napiszę Nineczko — a teraz całuję.

„Szary Cień". Jasiu, ściskam, ale czemu „szary" — no i czemu „cień"? Ani rusz nie mogę się połapać. Andrzej Cię pozdrawia. Jak tam po Wilnie i po urlopie?

„Uśmiech Szatana". Skrobnij, Ty groźna! Nie mieszkam w Wilnie, a w Połoneczce. Na „początek" całuję, mimo tego „zabójczego pseuda".

Wujku Januszu! Co robisz z „materiałem łatwopalnym", kiedy latem jest ciepło i piece pozamykane? Uściśnienie.

Poza tym ucałowania i pozdrowienia wszystkim kresowiakom(czkom), wilniankom i wilniakom.

„Blankę", „Anulę" i inne „miłeńkie" — co o mnie czasem pamiętają — całuję!

NIE BĘDĘ MIAŁA LITOŚCI

„Blanka". Cieszę się na Twój przyjazd, Kochana Blanko, tylko postaraj się przyjechać koniecznie w dzień pogodny, słoneczny.

Wierszyk oceni, jak zwykle, Wujek Janusz. Komunikaty tym razem jeszcze przedrukuję bez skreśleń z mej strony, ale w przyszłości proszę się streszczać, bo nie będę miała litości i nawet wzgląd na fakt, że należysz do seniorów Rodzinki, nie uchroni Twych komunikatów od mojej konfiskaty.

Łączę pozdrowienia od Wujka i sama Cię całuję.

Komunikaty „Blanki"!

P. P. Cesi i Tadziowi Urbańskim serdeczne podziękowanie za nader gościnne podejmowanie w dniu Czesławy. Zrewanżuję się na Helenę. Moc pozdrowień!

Promykowi, Złotemu Dzwoneczkowi, Heluseńce, Barci oraz siostrze Jej Staszce serdecznie dziękuję za życzenia imieninowe, zaś Zuch Dziewczynie za bombonierkę, również Ani Stajkowskiej i Zosi Dymarskiej podziękowanie za miłusi upominek. B. przepraszam za opóźnienie.

P. Wojtuś Kędrzyński. Dziękuję za życzenia, lecz... nie jestem Heleną „majową". Czy to Panu wystarczy?

Litwinka. Dziękuję za pamięć; prymitywizm nie przeraża mnie wcale, a raczej pociąga. Niestety już po wakacjach.

Frasquita. Serdecznie dziękuję, lecz plany pokrzyżowały się.

Zosia Wołynianka. Kiedyś odwiedzę Wołyń i Ciebie.

Słodka Dary. Trochę mi przykro, to był pierwszy wypadek.

Mimoza. Może w przyszłym roku zobaczę Lwów i... Ciebie.

To - Ja. Wyczuwam w Tobie b. miłego człowieka.

Stella. Łobuz w spódnicy! Całuję Was.

Samotny S. Może zgodzisz się na wymianę myśli? C. O. P. interesuje mnie ogromnie. Ściskam prawicę.

Januszu! Dziękuję za pozdrowienie z Warszawy. Mało rozumiem. Napisz coś więcej, ja nie mam adresu. Chcąc, by bajka stała się realną, muszę Cię „uchwycić".

Czarna Maryna. Cześć Tobie, dzielna Polko!

Moje głębokie uznanie również ślę Dyktatorowi. Czy Pan odpowie na list?

Biały Wrzos. Dziękuję. I ja Cię kocham mocno, mocno. Napisz!

Latona. Cudownie było w parku i na „Olimpie" — prawda? Kiedyś znów Cię odwiedzę miła Dziewczynko.

Serduszko. Raz jeszcze tą drogą przesyłam serdeczne podziękowanie za gościnność. Wpadnę przy najbliższej okazji, bo tęskno mi za Tobą i za... kimś. Ale wiesz, mam szaloną ochotę raz jeszcze użyć przejażdżki niemniej szalonej jak wówczas autem. Pamiętasz „trzy ząbki" itd. Pozdrów Andrzeja i niech Go po zabawach nie gonią i powiedz mu, żeby był na przyszły raz słowny, inaczej nie chcę go znać aż do ostatniego pokolenia.

P. Maria de Schoenfeld Hayderowa. Przesyłam Pani, Miła lwowianko moje szczere uznanie i moc pozdrowień.

Smutna Kazieńka. Napisz, albo przyjedź kiedy, ucieszę się.

Złota Jutrzenka. Pamiętasz nasze przypadkowe spotkanie w Poznaniu? Buzi.

Marzenka. Interesuje mnie Pani bardzo, może jednak pierwsza napiszesz daleka, miła Dziewczynko! Czekam więc cierpliwie.

Mała Konwalijka. Gdzie jesteś, odezwij się.

Samotna Włościanka. Uśmiechy.

Gerżabku moja kochana, droga Siostrzyczko, całuję Cię mocno i wiedz, że myślę o Tobie z Luśką co dzień.

P. porucznikowi rez. Jerzemu Umiastowskiemu przesyła Lusiątko dużo serdecznych pozdrowień i... ja też. Prosimy znów na chwilkę.

Czarny Hajduczek. Nie wiem czyś w domu. Blanka semper fidelis... Tobie i mocno Cię kocha.

Armeńczyku! Napisz!

Marysia Zielińska. Z niezwykłą pompą wprowadzę Cię do Krainy. Zobaczysz jacy mili w niej ludzie.

Irka K. — Poznań. Skąpo mnie informujesz o swoim życiu.

Marysieńka J. — Krasnystaw. Pamiętałam w Wilnie i tu i zawsze.

Pani Pokojskiej, mojej niestrudzonej współtowarzyszce podróży, dziękuję za okazane dowody życzliwości i troskliwość na każdym kroku doznaną. Pozdrawiam Panią Helę, Trudkę, oraz jej bliskich w Żninie p. p. Grabarków z córeczką.

P. P. Witka i Witold Gruszczyńscy — Poznań pozdrowienia.

Raptusa, Barcię, Dumkę, Zabłąkanego Chłopca, p. Kazię Roehrównę, Góraleczkę, Rabusia mile pozdrawiam.

Cesia Staniszówna oraz p. Janeczka. Dużo przyjemności w Busku.

Yoshimura, Samotna Idealistka. Słońca na nowej drodze.

Bachna Kolasińska. Całuję moją Złotą Dziewczynkę, Stenię też. Jadwiga Limba. Najmilszym Pani utworom należy się specjalne wyróżnienie. Dużo dobrych uśmiechów ślę Pani.

P. P. Domagałowie Żnin. Pozdrawia Was serdecznie dr. Zbigniew Sobczyński. Pamiętacie go? Zjawię się kiedyś tak ad hoc.

Żymełko kochana! Chcę iść na podbój Twego serduszka, może wyjdziesz mi na spotkanie? Napisz pierwsza, ucieszę się.

Jeśli kogokolwiek pominęłam, b. przepraszam i całuję podwójnie, przesyłając adres dla tych wszystkich, którzy chcieliby ze mną korespondować.

Zagrzewam jeszcze do dalszych ofiar na dozbrojenie armii naszej, składajcie pilnie grosiki.

Helena Thielówna

Gniezno, Świętokrzyska 4. m. 8.

ŁAŃCUCH SKŁADKOWY

NA DOZBROJENIE NASZEJ ARMII

„Gałązka Świerku" . . . . 2,50 zł.
Maryla Laterówna (nie podała pseud.) 6,00 zł.

PRZY NAJBLIŻSZEJ OKAZJI

„Szary Cień". Kochanie! Nr. 24 zleciłam przesłać Ci jak najszybciej, zapewne go już otrzymałaś!

Pięknie, że wypoczęłaś i że masz teraz więcej sił do pracy, a nerwy proszę trzymaj na wodzy — niech nie rządzą Tobą, lecz na odwrót: mają poznać pana i władcę.

Rzeczywiście, wykorzystałam już urlop i nie mogłam w żaden sposób zdobyć się na wypad do Ciebie. Nie weźmiesz mi tego — mam nadzieję — za złe. Może jeszcze kiedyś zdarzy się okazja, że będę mogła Cię odwiedzić. A lepiej było by, gdybyś Ty mogła wybrać się tu do mnie do Żnina. Czy jest to dla Ciebie wykonalne? Bardzo było by mi miło!

Kursy sanitarne są teraz bardzo często przeprowadzane we wszystkich większych miastach, więc myślę, że to jeszcze nie stracone — ukończysz taki czy inny przy najbliższej okazji.

Całuję Cię serdecznie i oznajmiam, iż oczekuję szybkiej odpowiedzi!

NA DOLĘ I NIEDOLĘ...

„Wieśniak". Bardzo chętnie przyjmuję Cię do naszego grona, Miły Chłopcze, a mam niekłamaną nadzieję, że i „Rodzinka" z przyjemnością przygarnie nowego towarzysza krainiackiej doli i niedoli. Bo trzeba Ci wiedzieć, że gdzie jest dola, tam musi się znaleźć dla kompletu i niedola — inaczej świat nie byłby światem, a życie usprawiedliwioną sprawą.

Mam niejasne przeczucie, że Twoją niedolą w życiu naszym familijnym okażą się Twoje wierszyki, które właśnie wręczyłam Wujkowi Januszowi do fachowej i bezwzględnie sprawiedliwej oceny. Może bogowie sprawią, że Wujek Janusz przychylniej ode mnie oceni Twoje wierszyki, którym ja przepowiadam przyszłość tak czarną.

Jakby nie było, proszę Cię o nieprzejmowanie się przedwczesne ewentualnym przyszłym ich losem.

Łączę życzliwy uśmiech i oczekuję następnego listu.

Z PODRÓŻY PO BELGII

„Indywidualista". Dziękuję Ci serdecznie za pozdrowienia, nadesłane w czasie podróży po Belgii i za dołączone do nich widokówki. Bardzo to uprzejmie, a jeszcze więcej ujmujące, że pamiętałeś o „Rodzince" i o mnie nawet w czasie nawału wrażeń, jakich dostarcza każdemu etranżerowi zwiedzanie obcych krajów.

Ogromnie Ci jestem wdzięczna za te widokówki, a zwłaszcza za fotografię tego pięknego holenderskiego młyna. Tak myślę, że zareprodukuję go w naszym tygodniku. Będzie Ci przyjemną świadomość, że dostarczyłeś mi materiału ilustracyjnego dla swego ulubionego pisma — czyż nie mam słuszności? A widzisz! Po powrocie zechciej nam szerzej opisać swoje wrażenia — zgoda?

Życzę Ci wielu przyjemności i pozdrawiam serdecznie!

„Halo! Przesyłam miłe pozdrowienia dla „krainianek" i „krainiaków", a w szczególności dla: „Małej Gwiazdeczki", „Marzenki w Ameryce" i „Marzących Oczu".

ZAPOMNIAŁEŚ O NAJWAŻNIEJSZYM

„Pieśniarz". Napisałeś mi dużo, lecz zapomniałeś o najważniejszym. Mianowicie o tym, czy koniec końców otrzymałeś posadę w Warszawie, czy też skończyło się na staraniach o nią. Może mi to w przyszłym liście powiesz? Wierszyki oddałam Wujkowi Januszowi do teczki.

Łączę serdeczny uścisk dłoni i dobre życzenia.

„Góraleczka". Odwzajemniam pozdrowienia.

„Serpentynka". Za pozdrowienia szczery uścisk dłoni.

„Farida". To dziwne — myślałem dotychczas, że podobny jestem tylko do siebie, a tu masz!.. Ktoś podszywa się pod wyraz mojego

„cyferblatu"... (jestem kobieco ciekawy, kto to?). Może Pani, biorąc pod uwagę mój naprawdę prawdziwy brak czasu, napisze pierwsza, a ja wtedy po prostu zmuszony będę przez wzgląd na dobre wychowanie — odpisać.

Za ten początek, zwykle najtrudniejszy, bardzo będę wdzięczny. Więc pozdrawiam, oczekując listu.

„Zaira". Zaklinam się na „łysinę mej babki", że jedynie dosłowny brak czasu zmusza mnie do niezadośćuczynienia tak ponętnemu pozwoleniu Pani.

Czy wierzy Pani w tradycję? (jeśli tak, to zgadzam się z losem — jeśli nie — to...) proszę napisać, bo nawet taka przeszkoda już nie istnieje — odpowiedź bez znaku — ?

Całej „Krainie" — pozdrowienia".

CZY JESTEŚ ZADOWOLONA?

„Lucet". Napisz mi, Dziecino, jak czujesz się w miejscu swego nowego pobytu i czy jesteś zadowolona z tej zmiany?

Wierszyki Twoje oddałam już Wujkowi Januszowi, ale będziesz musiała wykazać dużo cierpliwości w oczekiwaniu na ocenę, gdyż teczka Wujka napęczniała znowu do niesamowitych rozmiarów. Na jedno pragnę Ci zwrócić uwagę, mianowicie w przyszłości przy przesyłaniu wierszyków uważaj, proszę na wagę listu, gdyż ostatnio musiałam opłacić 50 gr taksy pocztowej za przeciążenie.

Cieszę się, że znalazłeś w „Jadwidze Limbie" oddaną przyjaciółkę. A z „Safo", czy także się już zaprzyjaźniłaś?

Napisz mi dokładnie, w którym numerze brakowało „Krainy", a każę Ci ten numer przesłać powtórnie.

Łączę ucałowania i zamieszczam komunikaty:

„Ikar IV". Piękny, dumny i mocny jest Twój wiersz: „Na straży" — przyjmij i ode mnie szczere, gorące: brawo!

„To ja". Dziękuję za „Srebrzystą noc". Omotała mi czarem serce na długie chwile..."

JESTEŚ OFIARNA

„Zosia Wołynianka". Kochana jesteś, Zosieńko! Z przyjemnością dowiedziałam się, że tak bardzo cenisz sobie moje odpowiedzi, dawane Ci na łamach „Krainy".

Nie przejmuj się proszę tym, że na razie nie możesz zadośćuczynić wezwaniu „Blanki". Jeżeli przekazałaś na FON. 200-złotową obligację Pożyczki Lotniczej i 3 obrączki ślubne, to nikt więcej żądać od Ciebie nie może, gdyż to co już uczyniłaś, jest dowodem ogromnej ofiarności. Jestem dumna z Ciebie i Twoich najbliższych.

Zdjęcie Twoje śliczniutkie — zamieszczę je w najbliższym numerze. Numery okazowe zleciłam Ci przesłać.

Przykre jest mi przeświadczenie, że „Rodzinka" nie poznała się na Tobie i nie nawiązała z Tobą serdecznego kontaktu listownego. Niemniej wierzę, że się jeszcze rozmyślą nasze „krainianki" i naprawią błąd swój, wynikły najprawdopodobniej ze zwykłego przeoczenia.

Łączę dla Ciebie serdeczne uśmiechy i zamieszczam komunikaty:

„Irusia z Wołynia". Napisz do mnie pierwsza, poetko cudna, bo mam szaloną tremę i brak mi odwagi. Odpiszę odwrotnie.

„Tajemniczy Nieznajomy". Już wiesz, w której stronie Wołynia mieszkam — prawda? Dziękuję za uwiecznienie w wierszu i pozdrawiam serdecznie.

„Zaira". Moje najszczersze uznanie za śliczne wiersze! Może napisze Pani kilka słów do mnie? Całuję Panią mocno.

„Uśmiech Szatana". Całuję śliczną buzię uduchowionej poetce i proszę o... wiersz.

P. Apolinary Żurawski. Dzięki za piękny i taki mocny wiersz „Na straży". Wywarł na mnie ogromne wrażenie".

TECZKA wuja Janusza

PROŚBA NIE WZRUSZYŁA MNIE?

„Uśmiech Szatana". Przede mną leży fotografia Pani. Patrzę na nią od paru chwil i daremnie doszukuję się w niej jakiegokolwiek „szatańtwa". Oczy — ciche, rozmarzone, zapatrzone w tajemną przestrzeń. Czoło wysokie, jasne, piękne. Nosek i usta — śliczne. Całość — ujmująca, wdzięczna i bardzo ładna, powiedziałbym anielska. I skąd ten rewelacyjny pseudonim, który każe wyobrażać sobie Panią zupełnie inaczej?!

Prośba Pani absolutnie mnie nie wzruszyła. Może dlatego, że powtarza się ona niemal w każdym liście. Najlepiej będzie, gdy zjawi się Pani kiedyś w Żninie! Pozwalam nawet zabrać Pani aparat fotograficzny i na pamiątkę „uwiecznić" mnie. Oto jedyne i najlepsze wyjście z niezwykle trudnej i skomplikowanej sprawy!

Wiersz pt. „O polskie morze" drukuję poniżej.

Łączę silny, przyjacielski uścisk prawicy!

O, POLSKIE MORZE...

„Yoshimurze" — poświęcam.

We snach Cię widzę — o polskie morze!
Słońce Twe fale muska co rano...
I tak mi dusza rwie się w przestworze!
Za Tobą tęskniąc — morze kochane!

Chyba radości łzy mi popłyną,
Gdy kiedyś Twoje ujrzę wybrzeże —
Gdy z niezmierzoną modrą głębiną
Zawrę wieczyste, święte przymierze!

Ono mię we śnie wzywa i mami —
Zaklęte pieśni nuci z oddali...
Czasami płacze pereł kroplami —
To znów się rzędem śmieje korali!

A kiedy wieczór zamroczy tonie
I ognie w górze rozpali złote —
Coś mi zadumą opłata skronie —
Coś w duszę wielką sączy tęsknotę. —

I wiem, że gdyby chmur ciemne zwały
Skądś pojawiły się na błękicie —
Pójdziemy wszyscy — bo Naród cały,
Za polskie morze — oddałby życie.
— — — — — — — —
Weź moje słowa — te nieuchwytne...
Weź duszę skutą w dumań obrożę —
Weź moje wszystkie pieśni błękitne, —
I rzuć w szumiące — kochane morze!

St. Roslewska.

DESZCZ PADA...

Deszcz pada... Po szybach płyną strużki cieniutkie,
niby łzy bezbarwne po czyjejś bladej twarzy.
W szarym pokoju siedzę sam na sam ze smutkiem
(Deszcz i Smutek przedziwnie lubią się kojarzyć).
Smutek pełza po ścianach. Rozpełzł się po sprzętach,
rozsiadł się w tym fotelu, gdzieś siadał najczęściej...
Wciąż przypomina, szydzi: „Pamiętasz, pamiętasz?
W tym szarym pokoiku mieszkało raz szczęście...
Wszystko jest Ciebie pełne. Album, radio, obraz.
Tęsknota szuka Twoich listów po szufladach.
Twoje słowa zostały: dziewczynko niedobra...
— Pożegnanie... Odeszłaś. Wtedy też deszcz padał...

Jadwiga Limba.

WCZORAJ I DZIŚ

Jest mi na duszy tak jasno, błogo...
Jak gdyby szczęście było tuż, tuż...
I zda się kroczę kwiecistą drogą,
Opromienioną odblaskiem zórz...
— — — — — — —
To cudne chwile młodości mej...
— — — — — — —
I nagle — jakby burzą miotana —
Słaniam się, ranię stopy do krwi,
Znikła ścieżynka kwiatami słana,
Zostały szare bolesne dni...
— — — — — — —
To straszne piętno mej doli złej...

Irena Maria Wójcikowska.

PRAGNĘ ZNALEŹĆ!

„Przeklęta Iwa". Chwilę zwątpień w własne zdolności, niech Pani odsuwa jak najdalej, bo nadsyłane przez Panią wiersze mówią wyraźnie o talencie. Wierzę, że odtąd tak będzie i potwierdzenie tego pragnę znaleźć w następnym liście Pani.

Tym razem przeznaczyłem do druku wszystkie wiersze, oprócz „Znasz ty?"...

STARA PIEŚŃ

Mojemu bratu Stachowi — poświęcam.

Zagrajże mi tę pieśń sprzed lat,
Niech w tonach jej
Odnajdę dawny świat.
Niech w cichych tonach odnajdę
Wspomnienie z dziecięcych dni...
Tę starą, cudną pieśń —
Zagrajże mi!
Tę starą pieśń niech w duszę wchłonę spragnioną,
Melodie jej niech ukołyszą serce me,
Niech w cichych tonach odnajdę szczęście swe
To cudne, ciche szczęście w dziecięcych dniach wyśnione.
Zagrajże mi tę cudną starą pieśń,
Kołysankę z dziecięcych dni —
Z tych dni, gdy obca mi była życia pleśń,
Kiedym nie wiedziała, że prześnią się sny...
Kiedym nie znała smutku
Bolesnych dni...
Tę starą, cudną pieśń
Zagrajże mi!
Ukołyszę serce swe do marzeń i snów,
Wchłonę w siebie melodie ciche, kochane,
A... może wrócą się do mnie znów
Tamte przecudne, beztroskie dni świetlane.
Zagrajże więc tę cudną pieśń sprzed lat,
Niech w tonach jej —
Odnajdę dawny świat,
Ten cudny wspomnień świat —
Z dawnych dziecięcych dni...
— tę pieśń sprzed lat,
Tę cudną pieśń —
Zagrajże mi!

K. Purollówna.

ODBIORĘ CHĘTNIE!

„Irusia z Wołynia". „Wczoraj i dziś" oraz „Szczęście" — pójdą do druku, „Pamiętasz" — do kosza! Tyle, co do nadesłanych wierszy!

List — ogromnie się udał! Chętnie odbiorę częściej podobny, choćby... choćby zaczął się w ten sposób, jak ostatni: Słuchajno stary! Jesteś cwany chłop i strasznie Cię lubię!...

Proszę przyjąć ode mnie, Pani „Irusiu". mocny, przyjacielski uścisk dłoni!

CIĘŻKO SIĘ ŻEGNAĆ!...

Ciężko, ciężko się żegnać
z młodości życia dobą,
o, bardzo serce boli,
gdy ona poza tobą.
I suną dni goryczy,
a chwila wiekiem płynie,
nie wróci już, nie wróci
młodość, gdy raz przeminie.
Wspomnienie czasem mgliste
przeplecie dni żywota
i szarpie biedne serce
tęsknota, szalona tęsknota.
I smutek zdobi lica,
i rzeźbi żal czoło,
bo młodość to nie twoja
tętniąca naokoło.
Nie twoje to już cele
i duszy ideały,
bo z dążeń twej młodości
łzy smutku pozostały.
O, próżne są twe wzloty
i ponad twoje siły,
opadniesz już, opadniesz,
powiększysz pyłów pyły...

„Zadzior".

GDY PIERWSZY RAZ UJRZAŁAM OCZY TWOJE...

Poświęcam Taddy'emu.

Gdy pierwszy raz ujrzałam oczy Twoje,
gdzie płonął ogień dziwny, niepojęty,
Niespokojnie uderzyło serce moje,
Jak ptak niespodzianie w sidła ujęty.

Skonało coś we mnie, jak pieśń nieśmiała,
Zapadła się w nieznane mi światy,
lecz wytrysła pieśń tak przecudna i biała,
nosząca Twych spojrzeń stygmaty.

Nie pytam w dzień jasny, ani czarną nocą,
Czy ze mną zostaną ciemne oczy Twoje,
Bo kogóż pytać? na co i po co?
Skoro ich nie oddam nigdy, bo moje!

Oddałeś mi je kiedyś w szczęsną chwilę,
I serce moje ten skarb cicho pieści,
Chociaż marzeń umarło tyle... tyle...
Ty jesteś — w tym słowie szczęście się mieści!

„Przeklęta Iwa".

piłem herbatę, gdy przyszli do mnie kontrolerzy. Powiadam panu, spuchłam trochę ze strachu wtedy. A nuż poznają się na moich dokumentach! A nuż aresztują mnie... Na szczęście, obejrzawszy moje papiery i mnie ze wszystkich stron — uwierzyli i odeszli. Musiałam jednak czekać do rana, bo nikogo nie wypuszczali, a nie było żadnego statku, który by gdziekolwiek odchodził. Poza tym — ta burza szalona w ciągu tej nocy też mi zadała pieprzu. Bałam się jej więcej, niż policjantów japońskich. A Su-Feng jakby się pod ziemię zapadł. Ani go widno, ani słyszno. Dopiero rano pozwolono nam opuścić dworzec. Spotkaliśmy się z Su-Fengiem w przystani rybackiej i po naradzie kupiliśmy tę oto dżonkę, aby nią popłynąć do Huang-ho i następnie tą rzeką do morza, albo też w górze jej wysiąść w Kaifeng i koleją dostać się do Szanghaju.

— W Kaifeng znajdują się japończycy. Tam nie mamy po co jechać, gdyż mogliby nas zatrzymać i zacząć ciekawie dopytywać się, a stąd to, a gdzie to? Pani wie, jacy policjanci japońscy bywają ciekawi wszystkiego, zwłaszcza, co się tyczy białych.

— O, wiem bardzo dobrze. Kiedy jechałam z Szanghaju do Pekinu, na okręcie opowiadał mi jeden Szwed taką historię: przyjechał do Japonii z własnym samochodem i pragnął go użyć po wylądowaniu dla wycieczek. Ale tutaj powiedziano mu: — Nie, szlachetny panie, naprzód egzamin, a później zezwolenie i jazda. Szwed ów, inżynier, człowiek wykształcony i doskonały fachowiec, odpowiedział im na to: — Świetnie, proszę mnie egzaminować. I co pan powie, panie kapitanie — nie zdał, Fawcet zaczął się śmiać.

— To było do przewidzenia z góry — odrzekł następnie.

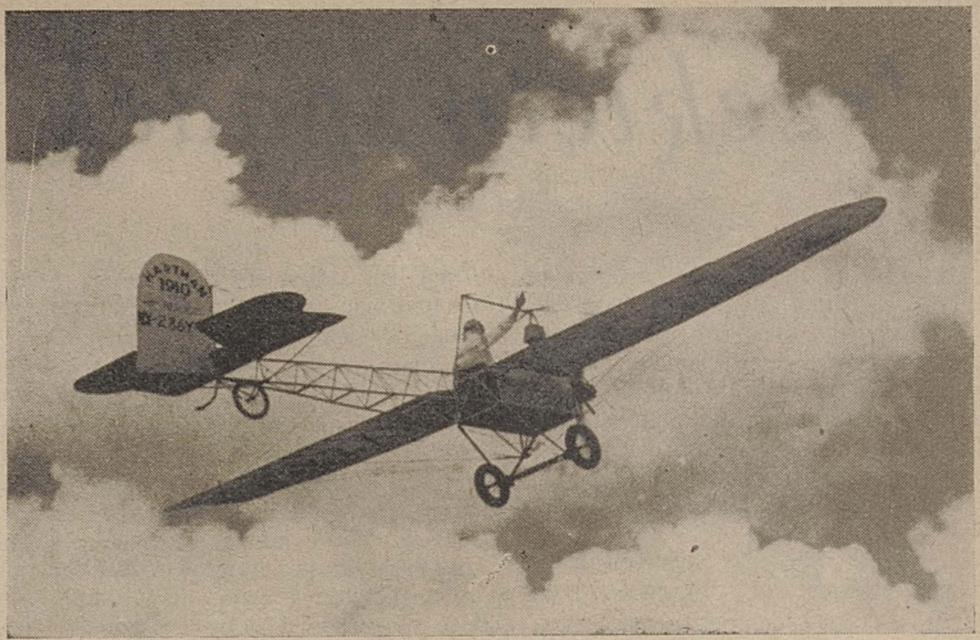
— Ale że to był człowiek twardy i zawzięty, więc powtórzył sobie raz jeszcze wszystko jak najdokładniej, nauczył się prawie na pamięć japońskich przepisów drogowych ilu jeszcze raz do egzaminu. I znowu go obcięli, nie mówiąc jednak, czego ten inżynier nie umie.

— Nie powiedzą mu tego nigdy, milutka panno Lou, bo nie chcą, aby ów Szwed własnoręcznie prowadził samochód. Widzi pani, jeżeli się jest białym i posiada się własny samochód na terenie Japonii, można nim jechać tam, gdzie się podoba i nikt o tym nieraz nie będzie wiedział. A jeżeli weźmie się do jazdy szofera Japończyka, to on, po skończonym kursie, zajdzie zaraz do policji i wyśpiewa wszystko z wszczelkimi szczegółami. To jest właśnie właściwa przyczyna, że szwecki inżynier nie zdał w Japonii egzaminu na szofera.

Na takich i podobnych pogwarkach mijały im dni za dniami i coraz bliżsi byli Huang-ho, gdzie spodziewali się znaleźć jakiś lepszy sposób na przeprawienie się do jednego z ośrodków władzy białych, gdzie pościg japoński nic by im już nie mógł zrobić.

Dni były jeszcze ciepłe, nawet nieraz upalne, ale za to noce bywały chłodne i trzeba było dobrze się zabezpieczyć, aby nie zmarznąć. Nadchodziła jesień, zwykle dokuczliwa, zwłaszcza w porze nocnej, w tej części Chin, w której się znajdowali.

Lou, maleńka Lou, cierpiała wielce z powodu niewygód tego życia, ale Fawcet,



Ta plątanina drutów, drzewa i płótna, popędzana niedołężnym motorkiem benzynowym nazywała się w r. 1910 — samolotem.

człowiek z natury dobry i uczynny, starał się wszelkimi siłami, aby jej ten nudny pobyt na dżonce czymś uprzyjemnić. Że zaś był to człowiek, który prawie świat cały przejechał wzdłuż i wszerz, widział wiele i wiedział wiele, najchętniej więc i najczęściej zabawiał Lou opowiadaniami swoich licznych przygód na różnych terenach.

Z upływem dni Lou tak bardzo przyzwyczaiła się do obecności codziennej i conocnej pod jednym dachem tego wesołego człowieka, że im bliżej była upragnionego celu, tym częściej żałowała, że ta na ogół nudna, ale często i romantyczna podróż będzie się już musiała skończyć i oboje się rozejdą, aby się może nigdy nie zobaczyć więcej. Czy to było tylko zwykłe przywiązanie do człowieka, którego znało się tak krótko, czy też może co więcej? Lou myślała nad tym nieraz i zastanawiała się, ale w końcu nie chciała się do tego przyznać. Fawcet nigdy nie przekroczył granicy z góry sobie zakreślonej i nigdy nie pozwolił sobie na żaden nawet najmniejszy nietakt w stosunku do swej towarzyszki. Lou nieraz była nawet o to na niego zła.

— Mógłby przestać już być taki sztywny, jak angielski lord na dworskim przyjęciu — myślała nieraz. — Można być dżentelmenem, ale nie trzeba zaraz udawać lorda. Gdyby mnie pocałował... korona pewnie nie spadłaby mu z głowy.

Ale Fawcet udawał wciąż ślepego i głuchego i nie odważał się na ten upragniony „choćby jeden pocałunek". A może się nawet i domyślał, że nie zaszkodziłoby zabawić się w romans? Lou warta była grzechu, mogła się podobać i mogła rozkochać w sobie nawet wymagającego mężczyznę. Niestety, kapitanowi wcale nie było skoro ani do romansu, ani do miłości, ani wreszcie nawet do pocałunku, który w obecnych czasach nie zobowiązuje do niczego trwałego. Chyba tylko w jednej Ameryce Północnej kobiety pod tym względem o tyle są szczęśliwe, że po jednym pocałunku wnoszą skargi do sądu i wygrywają ciężkie tysiące dolarów na otarcie łez. Ale tutaj wszak nie Ameryka, tylko Chiny.

Lou nie rozumiała zupełnie postępowania Fawceta. Nieraz nawet pragnęła, aby się ten Anglik nareszcie choć troszeczkę „zapomniał". Niestety, jego lordowska mość zapomnieć się nie chciała i trzymała się zawsze z należnym szacunkiem dla maleńkiej Lou.

Pewnego dnia w rozmowie, prowadzonej w tonie frywolnym na temat Paryża i jego pokus, Lou powiedziała, że w Anglii to pewnie wszyscy mężczyźni zachowują się w podobny sposób, jak on, Fawcet, na tej dżonce.

— Z czegóż to pani tak wnosi? — uśmiechnął się kapitan.

— Bo pan — nie powiem, aby nie był uprzejmym, przeciwnie, jest pan nim nawet bardzo — jest jednak bardzo sztywny i urzędowy. Czy pan nigdy się nie kochał?

— Zależy w kim lub w czym.

— No, w kobiecie, ma się rozumieć.

— Nie, w kobiecie się nie kochałem, madame.

— To dziwne, nie wygląda pan na takiego, który by ślubował celibat.

— A właśnie, że postanowiłem sobie już dawno, że nie ożenię się nigdy.

— Dlaczego?

— Bo nie warto. Żaden szanujący się mężczyzna nie powinien nigdy się żenić. Znajdzie pani w poważnych pismach takie zalecenie, że kobieta jest złym najgorszym, jakie tylko istnieć może na ziemi.

— Ach, co też pan opowiada! W jakich pismach to znowu można wyczytać?

— W bardzo licznych i to u bardzo poważnych pisarzy. Bo proszę posłuchać: rozumiem jeszcze, skoro już inaczej być nie może, że kobieta bierze sobie jednego mężczyznę i kontentuje się nim. Ale jeżeli ja mam być tylko jednym z wielu u jednej kobiety, to nie leży w moim guście.

— Jeżeli pan trafi na swój typ kobiety i będziecie się bardzo kochali, pańska żona nie zdradzi pana nigdy.

— To będzie zależeć od jej fantazji i jej sprytu, a ja nigdy się o tym nie dowiem, czy mnie ona zdradziła lub nie. Tego faktu żadną miarą zmierzyć nie można.

— Ależ!...

— Chwileczkę, łaskawa pani. Skoro uwzięła się już pani, aby mnie swatać...

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Przeklęty spadek

POWIEŚĆ SENSACYJNA

— Jakże można zgóry przewidywać takie rzeczy?! — żachnął się sportowiec.

— Może pan nie wierzy w przeczucia, jestem jednak głęboko przekonany, że nie wszyscy z nas powrócą do Anglii.

Młody człowiek patrzył ze zdumieniem w twarz inspektora.

Mr. Thompson uśmiechnął się lekko.

— W pańskim wieku także nie wierzyłem w „przesądy"... — rzekł.

Jakiś czas w milczeniu spacerowali po pokładzie, wreszcie mr. Stevenson rzekł nieśmiało:

— Niezmiernie jestem ciekaw, w jaki sposób wytropił pan tego Rozenberga, czy jak on tam się nazywał? Jeżeli nie będzie to niedyskrecją...

— Ależ, chętnie panu opowiem, mr. Stevenson. Otóż, ponieważ rzucono panu na kolana kopertę, a nikogo dokoła nie było, wniosek przeto oczywisty, że autor pomysłu ukrył się w kominie, jedynem, nadającym się do tego miejscu. Stwierdziłem odrazu, że komin jest zimny i nie dymi, a więc — palenisko musi być nieczynne. Z charakteru pisma poznałem, że maczał tu ręce Rosenblum, nie grzeszący zbytnią przenikliwością. Dlatego prosiłem pana, abyś dalej opowiadał „na przynętę" i nie obawiałem się urządzić kawały z lornetką, celem upewnienia się, że istotnie ów miły żydek ukrywa się w kominie. Lornetka ta, to wcale niezły wynalazek, mr. Stevenson: patrzy pan przed siebie, a widzi co się dzieje — nad i poza panem, należnie od nastawienia kombinacji soczewek i luster.

Gdy parowczyk transportowy przybił do mielizny, „Shenandoah", uwolniony z okowów piaszczystej ławicy, kołysał się już na lekko wzburzonych falach zatoki.

Dwa towarzystwa rozstały się. Jedno powracało do Anglii, uradowane i szczęśliwe, drugie zaś odbywało do dalekich Stanów po nieznane przygody i dziwaczny, złowrogi spadek...

— Jest obecnie punktualnie 12 w południe, dnia 6 października — mruknął mr. Thompson do Sylwestra, gdy „Shenandoah" wypływał z zatoki na pełne morze. Dokładnie za 24 dni upłynie ostateczny termin zgłaszania się po spadek. W New Yorku winniśmy wylądować według rozkładu linii okrętowej 26 października o godzinie 4 rano, mielibyśmy zatem dość czasu, bo 4 doby i 8 godzin. Jeżeli tedy, mój stary, nic nie znajdzie, śpiewająco zdążymy na czas, ale jeśli coś, lub — ktoś pokrzyżuje nasze plany.

Urwał, patrząc z niepokojem na niebo, zaciągające się coraz gęstszemi, ołowianymi chmurami.

— Będzie burza, albo — cyklon — zamruczał. — Myślę, że lepiej się stanie, gdy zejdą panie do kajuty; wiatr wzmaga się coraz bardziej. Wcale zachęcający początek podróży...

Wicher stawał się porywistszy z każdą niemal minutą i coraz trudniej było utrzymać równowagę na pokładzie.

Drugi oficer szybko podchodził do poszczególnych grup pasażerów, prosząc o zejście pod pokład. Wszyscy, trochę zaniepokojeni, lub wręcz strwożeni, zastosowali się do wezwania, oprócz mr. Thompson'a. Inspektor lubił burze na morzu i postanowił pozostać pewien czas na pokładzie, aby móc obserwować emocjonującą walkę żywiołów. Odprowadził do kajuty missis O'Sourke i O'Sullevan'a, po czym powrócił na poprzednie miejsce.

Coraz potężniejszy wicher fałdował w fale spokojny dotąd ocean, tworząc z początku drobne, później większe i jeszcze większe bałwany.



Z małym entuzjazmem przyjmuje córeczka swą matkę, która wstąpiła do angielskiego oddziału kobiecego opl.

O'Sullivan siedział kilka minut w kajucie, uspokajając dziewczęta, lękające się nadciągającej nawałnicy, wkrótce jednak wyszedł na korytarz. Było mu duszno, a nie mógł otworzyć iluminatora, wielkie bowiem bałwany coraz zajadlej atakowały prawą burtę parowca.

Gdy stał, oparty o poręcz schodów, wiodących na pokład, podbiegła do niego maleńka małpka afrykańska, z gatunku zwanego przewodniczkami. Stanęła ona na chwilę przed olbrzymem, po czym ruszyła wzdłuż korytarza, oglądając się za siebie i przystając co parę kroków.

O'Sullivan znał obyczaje maleństwa. Nieraz wyświadczyły mu one drobne przysługi w Wielkiej Puszczy, naprowadzając go na trop zwierząt, któremi się żywił, to też w owej chwili, nie zastanawiając się nad różnicą między okrętem transatlantyckim, a odwiecznymi borami, podążył w ślad za małpką. Zwierzątko, ucieszone tym, skakało wesoło, wykrzywiając się pociesznie.

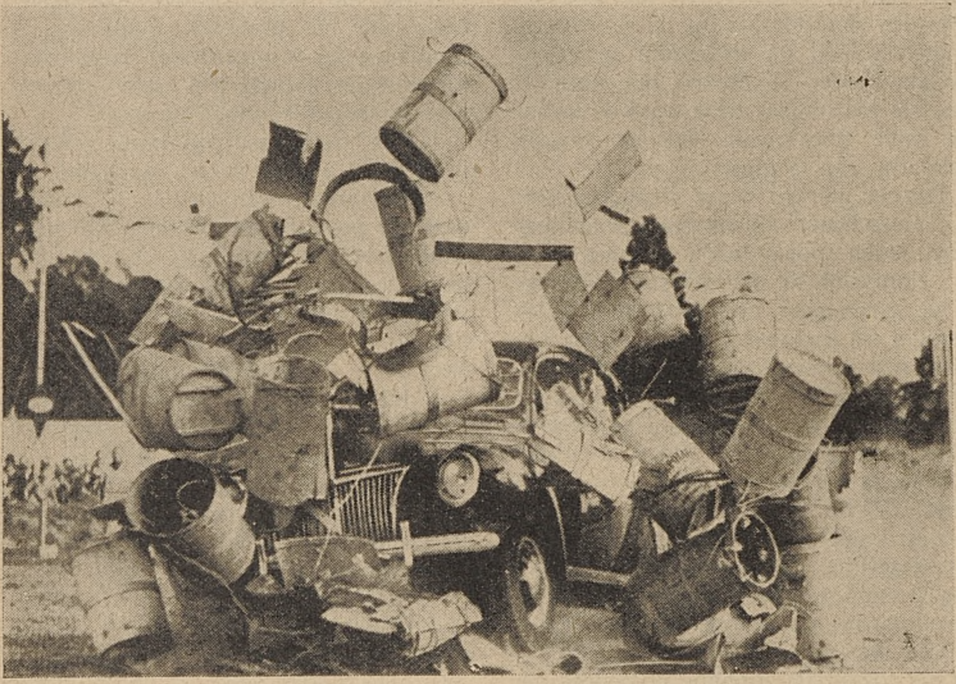
Zeszli tak o piętro niżej, na korytarz kajut III klasy.

„Przewodniczka" zatrzymała się przed jakiemiś drzwiami i stanęła naprzeciw O'Sullivan'a, wydając gardłowe okrzyki. Po chwili wahania, olbrzym nacisnął klamkę i wszedł do wnętrza. W kajucie było pusto, choć paliło się w niej światło.

Małpka tymczasem wyciągnęła spod tapczanu maleńkie pudełeczko blaszane i podała je olbrzymowi. Zaciekawiony, podniósł wieczko. Wewnątrz znajdowała się jakaś biała, sproszkowana substancja; ilość jej zmniejszała się z każdą sekundą. O'Sullivan przyglądał się temu ze wzrastającym zdumieniem.

Naraz zamroczyło go, jakby od potężnego uderzenia w głowę. Oparł się o przyśrubowany stolik, lecz w tejże chwili runął na podłogę, okręt bowiem silnie pochylił się na bok pod naporem atakujących go bałwanów.

Olbrzym uniósł się z trudem na rękach, poczem ukląkł. Brakowało mu tchu — serce waliło jak młotem, a głowę ściskały jakby żelazne obręcze. Czując, że traci



Ryzykowny eksperyment — samochód osobowy rozbija w pędzie przeszkodę z pustych beczek.

przytomność, pochwycił klamkę, aby otworzyć drzwi na korytarz. Były zamknięte na klucz...

Jak poprzez mgłę ujrzał nad sobą jakieś żółte twarze, wykrzywione szyderstwem i — ostatnim wysiłkiem zerwał się z podłogi. Potężna jego pięść spadła na jedną z owych twarzy, miażdżąc ją jak obuchem siekiery, lecz zaraz potem runął na podłogę, jak kłoda. Ogarnęła go niepamięć i noc.

XXIII.

NA ŁASCE FAL

O'Sullivan ocknął się. Leżał w kajucie, skrępowany grubymi sznurami, do których przywiązane były dwa wielkie pasy ratunkowe, otaczające jednocześnie jego ciało. Obok spoczywał trup Chińczyka, opasany takiem samem kołem. Twarz jego była ohydnie zmiażdżona.

O'Sullivan zamierzał podnieść się, lecz wysiłki jego były daremne.

Wtedy — zwolna — pochyliła się nad nim twarz Chińczyka, ziejąca nieludzką nienawiścią.

Żółtolicy syn Azji nagłym odruchem dobył zza pasa długi nóż i zamierzył się nim na olbrzyma. O'Sullivan nie drgnął nawet, spokojnie patrząc na sprawcę. Ten opanował się natychmiast, odrzucając mordercze narzędzie.

— Ty zlękniesz się — później! — rzucił z nienawistną uciechą. Mówił bardzo złą angielszczyzną, O'Sullivan jednak rozumiał go. — Zabiłeś naszego pana Li-Hu-Lina, ale my pomścimy jego śmierć! Będziesz konał długie godziny i długie dni obok jego rozkładającego się trupa. Może uwolni cię od mąk żarłoczny rekin, lecz nie licz na to, gdyż w tej części oceanu, którą przepływamy, mało jest tych miłych rybek...

Zaśmiał się jak potępieniec.

— No, czas na ciebie, wielki, biały morderco!

Z pomocą swego towarzysza, europejczyka, którego twarz wydawała się O'Sullivanowi dziwnie znajoma, podnieśli go i otwarłszy iluminator, wyrzucili przezeń w morze, w ślad za nim cisnęli trupa Chińczyka, połączonego grubą liną z olbrzymem.

Do wnętrza kajuty wdarł się strumień spienionej wody, szeroką strugą rozlewając się po podłodze...

— — — — — —

Mr. Thompson, nie mogąc dłużej pozostawać na pokładzie, przez który przewalały się — jeden za drugim — olbrzymie bałwany, z trudem przedostał się do kajut wśród ryku huraganu i zupełnych ciemności. Jeden z bałwanów omal nie zmył go w odmęty morskie.

— Gdzie mr. O'Sullivan? — zagadnął, widząc, że afrykanina niema w kajucie.

— Przed godziną wyszedł i dotąd nie wrócił... — wykrztusił blady i najwidoczniej chory Sylwester.

Missis O' Sourke leżały bezwładnie w hamakach, dręczone atakami morskiej choroby.

Inspektora opadły złe przeczucia. Wyrzucał sobie, że pozostawił bez opieki tych ludzi, za których bezpieczeństwo był odpowiedzialny.

Gorączkowo wybiegł na korytarz, gwizdnąwszy na Noska, również okazującego wyraźne zaniepokojenie.

— Szukaj pana! — zawołał mr. Thompson i pobiegł wzdłuż korytarza, padając niemal co chwila, okręt bowiem tańczył jak piłka na falach i przewalał się z boku na bok.

Zmyślny pies ruszył przed inspektorem z nosem przy ziemi, gdy zobaczył jadnak, że pan nie zwraca na niego uwagi, szczeknął raz i drugi, poczem zbiegł po schodach na niższe piętro, zatrzymując się przed drzwiami jednej z kajut.

Mr. Thompson nacisnął klamkę i wpadł do wnętrza. W kajucie nie było nikogo ale podłoga zalana była wodą, a obok stolika widniała duża kałuża krwi. Nosek wspiął się na tylne łapy i obwąchiwał iluminator, skomląc żałośnie. Inspektor, dojrzawszy ślady krwi i na obramowaniu okienka, pewien był, że rannego lub zabitego O'Sullivan'a wrzucono w morze.

Wybiegł z kajuty i popędził na pokład, nie zważając, że fale strącały go z nóg i groziły porwaniu w odmęty morza.

Czepiąc się balustrady, przedostał się na drugą stronę okrętu i bezwiednie niemal oświecił latarką wzburzony ocean.

Widok, jaki ujrzał, napełnił go radością; błogosławił intuicję, która natchnęła go myślą, aby tu podążył.

Na kotwicy, zmytej przez fale z pokładu, lecz przymocowanej do grubej liny, częściowo tylko spuszczonej z kołowrotu, wisiał O'Sullivan. Oczy olbrzyma uparcie spoglądały w górę okrętu, oczekując stamtąd ratunku. Bałwany co chwila przytłaczały go z impetem do burty, lecz dwa koła korkowe chroniły go od potłuczenia. Chińczycy pragnąc przedłużyć afrykaninowi mękę spodziewanego konania, nieoczekiwanie wyświadczyli mu przysługę...

Mr. Thompson przesunął przez ramiona zerwane z balustrady koło ratunkowe, poczem uciął kawał liny i przywiązawszy jeden jej koniec do kabestanu, drugi zaś do pasa, skoczył w morze, które — na szczęście dla nich — uspokajało się zwolna.

Szybko przeciął więzy O'Sullivan'a, odciął postronek, łączący go z ohydnym trupem Chińczyka i zamierzał wspiąć się po sznurze na pokład, gdy nagle górny koniec liny wpadł w morze, a inspektor w ostatniej niemal chwili zdołał pochwycić kotwicę, na której przysiadł olbrzym.

Lecz jakaś niewidzialna ręka przecięła również i sznur kotwicy. Obaj mężczyźni porwani przez nadlatujący bałwan i uniesieni daleko od okrętu...

XXIV.

ANNABERIE DE MONTE-VILLI

Chińczyk, który przeciął liny, łączące mr. Thompson'a i olbrzyma z okrętem oparł się o balustradę, patrząc z triumfem na swe ofiary, unoszone przez fale w mroczną dal oceanu.

Na pokładzie transatlantyckiego parowca rozległ się cichy śmiech, lecz zamarł nagle, bo oto w kark azjaty wpiły się jakieś potężne zęby, a straszliwe, włochate ramiona skręciły mu głowę, zrywając kręgi. W minutę później na pokładzie leżały tylko drgające zwłoki Chińczyka...

Olbrzymi Lo-Wo, wybiegłszy z kajuty za mr. Thompson'em, błąkał się po pokładzie, poszukując przyjaciela z Wielkiej Puszczy. Śmiech Chińczyka rozjątrzył zwierzę — byłżeby to instynkt? — i azjata przypłacił życiem swój chwilowy triumf.

Świadkiem okrutnej śmierci Chińczyka był jego towarzysz — Paweł Reuss. Stał opodal, przyglądając się ze złośliwym uśmiechem przecinaniu sznurów.

— Adieu, Thompson — na zawsze... — mruknął.

Ujrzawszy jednak zgon towarzysza i opanowało go straszliwe przerażenie. Rzucił się — jak oszalały — do ucieczki, lecz nie było mu dane uratować własnego życia, skoro nie przywiązywał wagi do życia innych.

Ostani bałwan, jakim ustępujący cyklon zaatakował „Shenandoah", porwał złoczyńcę i pogrążył go nazawsze w odmętach Atlantyku.

— — — — — —

Ocean unosił coraz dalej mr. Thompson'a i O'Sullivan'a, podrzucając nim jak



Słynna francuska dziennikarka, pracująca w dziale polityki zagranicznej lewicowej gazety „Oeuvre" madame Tabouis, udziela wywiadu podczas pobytu w Londynie.



Angielskie kobiece oddziały wojskowe propagują w miastach akcję pomocy przy żniwach.

prąd powietrza podrzuca celuloidowe piłki w dziecinnej zabawce. Niebawem światła okrętu, malejące z każdą chwilą, zniknęły zupełnie z ich oczu. Złączeni sznurem, wpadali w wodne czeluście, aby znów wypłynąć na grzbiet olbrzymiego bałwana. Woda zalewała im twarze, nie pozwalając czasem złapać tchu przez kilkanaście sekund, długich jak wieki. Lecz straszliwe uczucie braku powietrza powtarzało się coraz rzadziej, ocean bowiem uspokajał się, fale stawały się coraz mniejsze, aż wreszcie powierzchnia wód wygładziła się i legła nieruchoma w blaskach krwawo wschodzącego słońca, wyłaniającego się z pośród przesłaniających je chmur.

Mr. Thompson zdawał się nie zwracać uwagi na kilkakrotne próby nawiązania rozmowy ze strony O'Sullivan'a. Był przygnębiony, nie rozczulał się zresztą własnym losem, uważając go za przesądzony, lecz troskał się o dziewczęta, pozostawione na łasce złoczyńców na pokładzie „Shenandoah". Czyż stary Sylwester, przy całym swym doświadczeniu, mógł zapewnić im bezpieczeństwo?... Gdybyż można zawrócić je z drogi. Spadek stracony, bo choćby szczęśliwie i na czas dotarły do notariusza, stosownie do zastrzeżeń, poczynionych w testamencie, nie otrzymają owych trzech milionów dolarów.

Gdy inspektor snuł swe niewesołe myśli, jakiś wielki przedmiot silnie uderzył go w plecy. Odwrócił się, wydając okrzyk radości: zajaśniała przecież nadzieja ratunku.

Opodal kilem do góry, płynęła szalupa, najwidoczniej zerwana przez huragan z jakiegoś okrętu, może nawet z „Shenandoah".

Mr. Thompson z westchnieniem ulgi oparł się o burtę łodzi.

Po długich wysiłkach szalupa powróciła do normalnego położenia, lecz wskutek odwracania, napełniona była do połowy wodą. Próbowali wychlustać ją rękami, dawało to jednak znikome rezultaty.

Zniecierpliwiony inspektor wgramolił się do wnętrza szalupy: w ten sposób łatwiej było wylewać wodę. Po jakimś czasie do łodzi wszedł O'Sullivan. Wspólnymi siłami uwolnili szalupę od niebezpiecznie zanurzającego ją ciężaru.

— Sacré coeur, jakby powiedział Sylwester — zamruczał mr. Thompson — uważam, że byłby najwyższy czas zjeść porządne śniadanie...

— Zdaje mi się, że zjadłbym całego wołu na surowo... — zawołał O'Sullivan. — A raczej chętnie na surowo — uśmiechnął się — bo od tych waszych wymyślnych przypraw nabawiłem się rozstroju żołądka...

— Proszę bardzo! — rzekł mr. Thompson i sięgając ręką za burtę, podał towarzyszowi zdechłą rybę. — Wołem coprawda służyć nie mogę, chyba, że jakiś okręt rozbije się w pobliżu, jak przytrafiło się to nieboszczykowi Robinsonowi, ale rybką — bardzo chętnie...

Olbrzym starannie obwąchał martwą mieszkankę Atlantyku.

— Nieświeża — zaśmiał się — i dlatego niestety, nie mogę skorzystać z uprzejmego zaproszenia.

Zamierzał rzucić rybę w morze, lecz inspektor powstrzymał go.

— Co pan robi najlepszego? Przecież to przynęta! Zaraz sfabrykuję wędkę ze szpilki i sznurka, skręconego z bielizny.

O'Sullivan wzruszył ramionami.

— Po co tyle trudu?

Błyskawicznie ściągnął z siebie ubranie dał wspaniałego szczupaka w morze. Po chwili wypłynął, wyrzucając na dno szalupy dużą rybę.

— To prostsze... — zaśmiał się. — W Wielkiej Puszczy zawsze chwytałem w ten sposób ryby w jeziorach i rzekach.

Inspektor pokręcił głową.

— Fenomenalne! Pan jest nieoceniony, mr. O'Sullivan. Zaczynam wierzyć w nasze ocalenie. I gdyby nie los dziewcząt...

O'Sullivan westchnął, tępo spoglądając w dal. Na nieboskłonie gorzała złota tarcza słońca. Dopiero w owej chwili zdał sobie sprawę, że są sami na bezbrzeżnej tafli oceanu i że szalupa ich, o ile burza nie zatopi jej wcześniej, może miesiącami błądzić po pustce i kiedyś — po długich tygodniach — jakiś okręt natrafi na ich kości, bielejące na dnie łodzi...

Inspektor przerwał wreszcie ponury nastrój.

— Jesteśmy zupełnie bezsilni mr. Sullivan — rzekł. — Musimy zdać się na los, a wszelkie rozważania nic nam nie pomogą. Po co tedy myśleć o tym?

Podjął rybę, martwą już, i wykrajał kawałek mięsa. Podniósł go nieufnie do nosa — wydawał niemiły odór morszczyzny — i w końcu zdecydował się zagłębić w nim zęby. W tej samej jednak chwili ze wstrętem wypluł ugryziony kęs.

— Co za niesłychane świństwo! — wstrząsnął się z obrzydzeniem.

O'Sullivan roześmiał się i począł z apetytem pałaszować wzgardzoną przez towarzysza rybę wraz ze skórą i z łuską...

Inspektor odwrócił się ze wstrętem, lecz wywołało to tylko nowy wybuch śmiechu olbrzyma.

— — — — — — — —

Rankiem dnia następnego mr. Thompson, nieustannie obserwujący horyzont, zerwał się na równe nogi.

— Okręt! — wykrzyknął. — Parowiec! Zbliża się do nas!

Daleko, daleko na wschodzie, płynął w ich kierunku jakiś statek. Z kominów buchały kłęby czarnego dymu, rozwłóczące się po pogodnym niebie.

Zbliżał się coraz bardziej i niebawem podpłynął tak blisko, że mogli odczytać wielki napis na jego burcie.

— „King George I"! — zawołał inspektor, machając chustką w powietrzu.

Było to zresztą zbyteczne: zauważono ich. Parowiec zatrzymał się, spuszczono szalupę z kilku marynarzami. Cudem niemal ocaleni mężczyźni znaleźli się wkrótce na pokładzie.

Wśród tłumnie wyległych pasażerów „King George I", ujrzał inspektor ku swemu zdumieniu braci Stevenson'ów i ich uroczej siostry...

Siostry?!... Mr. Thompson doznał nagle olśnienia. Piękna dziewczyna wyglądała zupełnie inaczej, niż w samolocie pasażerskim i na pokładzie transportowego parowczyka... A może tylko on, inspektor, nie dojrzał wówczas tego szalonego podobieństwa, — nie! — tej identyczności...? Dojrzał, lecz nie uświadomił sobie wtedy, gdzie widział już tę uroczą postać...

Przed oczami mr. Thompson'a ukazała się walijska plaża, urodziwe girlsy, dr Semmler i...

— Miss Annaberie de Monte Villi... — szepnął, pochylając się w ukłonie przed dziewczyną.

Pokraśniała gwałtownie, a oczy jej niespokojnie pobiegły dokoła.

A potem — nieznacznie — położyła paluszek na wiśniowych wargach, a oczy jej z niemą prośbą utkwiły w twarzy inspektora...

XXV.

PLAN, KTÓRY SIĘ NIE UDAŁ

— Państwo — tu?! — zapytał mr. Thompson tak spokojnym głosem, jakby nie uczynił przed chwilą najbardziej zdumiewającego odkrycia. — Mieliście przecież wracać do Anglii!...

Mr. Stevenson - młodszy spojrzał nań ze zdziwieniem.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

RAJ KOBIET





Modny acz nieco ekscentryczny strój plażowy prezentuje nam modelka po lewej stronie. Składa się on z długiej białej spódnicy bogato aplikowanej w smoki orientalne, dalej z napierśnika w kolorze aplikacji i krótkiego bolerka. Całości dopełniają: barwny turban jedwabny, duża torba plażowa, zielone okulary w szerokiej oprawie i parasolka. Po lewej: skromny biały kostiumik, przybrany lamówką. Uzupełnia się go długim płaszczem kąpielowym białym lub kolorowym.

Rankiem na wywczasach

Iluż to poetów sławiło mniej lub więcej piękne poranki, ileż poświęcono im (porankom a nie poetom) papieru i atramentu... Ileż Pań wpadało w nastrój... grobowy, natychmiast po obudzeniu się. Bo poranek dla Pani, to okres bardzo kłopotliwy. Nigdy nie wiadomo, co włożyć na siebie. W zimie to jeszcze pół biedy. Nie mamy wtedy czasu na zbytnio skomplikowane rozwiązania, albo bowiem same musimy spieszyć do biura czy innego zajęcia, albo wyekspediować małżonka, albo wreszcie przygotować własnoręcznie śniadanie dla dzieciarni, która spieszy do szkoły.

Ale w lecie?

Lipiec wszakże upłynął pod znakiem upałów, rozpraszając wszystkie skrupuły co do niezbyt wesołej perspektywy letnisk.

Pakujemy na gwałt walizki, kufry, tobołki, aby prędzej wydostać się na świeżą, zieloną trawkę, odetchnąć rzeźwym powietrzem polskiej wsi, czy polskiego morza.

Nie straszy nas groźna perspektywa wojny, jakkolwiek będzie — trzeba żyć normalnie! Wypoczywać, aby nabrać sił...

W naszych bagażach nie brak niczego. Są suknie przedpołudniowe i popołudniowe, wieczorowe i wizytowe, są nawet... wieczorowe. Wprawdzie każda praktyczna pani, wie, że nie warto zbytnio obładowywać się bagażami i fatałaszkami zbędnymi, ale rozsądek swoje — a próżność swoje! Są pończoszki, pantofelki, kapelusiki nie brak kostiumu kąpielowego, nawet dwóch, bo Pani jest przezorna i o tym wszystkim pamięta, zapominając jedynie o takiej drobnosce, jak strój... poranny.

W mieście nie odczuwa się w tak wielkim stopniu niezbędności tego stroju po pierwsze, dlatego, że jak już wyżej zaznaczyłam — miasto prawie zupełnie wykluczyło ze swego budżetu poranek, po drugie jeśli nawet jesteśmy w tych warunkach, że rano ma u nas prawo obywatelskie, widzą nas w rannym stroju conajwyżej dzieci, mąż, matka, czy służąca. Nic też dziwnego, że w zupełności wystarczy nam jeden lub dwa skromne szlafroczki. Na wsi, nad morzem, czy w uzdrowisku sprawa przedstawia się bardziej skomplikowana, pani często rozpoczyna ranek o godzinie 5-ej, kiedy rzeczywiście można rozkoszować się cudami ledwo obudzonej natury, a kończy go bodaj o... 12-tej w południe, lub jeszcze później. I przez cały ten czas pani jest „widzialna", bo jeśli nie siedzi na werandzie lub balkonie, jedząc śniadanie, czy opychając się soczystymi i aromatycznymi owocami, to pozostaje w pokoju, którego okna są najczęściej rozwarte i pozwalają każdemu zajrzeć do wnętrza.

Jeszcze do niedawna jedynym strojem porannym dla szanującej się kobiety był, zdaniem ogółu — szlafrok. Skromny, poczciwy szlafrok, który okrywał nas niejako od stóp do głów, chroniąc i od chłodu i od zbytnio natarczywych spojrzeń osób niepowolanych. I dzisiaj szlafroczek króluje jeszcze — jako najpraktyczniejszy strój, ale już nie niepodzielnie. Są panie, które większymi sympatiami darzą piżamę.

Ale pomówmy najpierw o szlafroku, a raczej poranniku (polska nazwa także ładna, szkoda, że trudno jej przychodzi spopularyzować się.)

Jeśli pani wybiera się do jakiejś b. eleganckiej miejscowości kąpieliskowej i będzie tam dużo znajomych — radzę sprawić sobie śliczny, prosty w kroju poranniczek z koronki — białej, różowej lub niebieskiej. Mamy teraz koronki bardzo trwałe i niedrogie, po kilka złotych za metr. Porannik taki najładniej będzie się prezentował, jeżeli będzie wcięty w talii, a dołem kloszowy. Duże wyłogi kołnierza i... szlafroczek — cudeńko gotowy!

Na chłodne wieczory i ranki sprawić sobie radzę porannik np. niebieski z wzorzystego jedwabiu. Jako przybranie dajemy guziki i stebnówkę czerwoną lub białą.

Dla starszych lub niezbyt zdrowych (reumatyzmy itp. dolegliwości) pań praktyczny jest porannik z flanelki lub jedwabiu podbitego flanelką (specjalny sposób tkania) w pasy lub groszki, które ożywią całość, bo w jednostajnym kolorze byłaby ona za monotonna.

Najskromniejsze, ale jakże wdzięczne, miłe i wesołe są porańniki z kretonów i jedwabiu do prania. Za kilka złotych mamy już cały szlafroczek. Nie szczędźmy marszczeń ani falbanek, bo dopiero wtedy poranniczek będzie ładny.

Dzisiaj porannik powoli, wbrew przewidywaniom sprzed paru lat, zanika na korzyść piżamy. Zwykłej piżamy, składającej się z kurtki i spodni, a górującej nad szlafrokiem praktycznością, tudzież efektownością linii, które zupełnie już zatraciły zbytnio męski charakter, nabierając wybitnie kobiecej miękkości i powabu. Piżama obecna jest całkowicie dostosowana do sylwetki pani i znakomicie tę sylwetkę przystraja, zapewniając jej jednocześnie absolutną swobodę ruchów, tak mile na wsi widzianą. Piżamę taką może z łatwością wykonać każda z nas, pamiętając tylko, aby zarówno spodnie jak i bluza były możliwie przestronne, a pod żadnym pozorem obcisłe, wtedy bowiem piżama zatraca właściwy charakter wygodnego i praktycznego stroju porannego.

Spodnie piżamy są obecnie bardzo szerokie i długie, tak długie, że prawie dotykają podeszew pantofelków pani, Krój bluzy może być różny, począwszy od bardzo długich, prawie szlafrokowych, a skończywszy na króciutkich, jakgdyby kamizeleczkach czy kaftanikach?

Zależnie od zawartości naszej „szkatułki" spreparujemy sobie mniej lub więcej wykwintną piżamę. Jeśli jedziemy do jakiegoś modnego uzdrowiska, czy też do miejscowości kąpielowej, piżama nasza powinna odznaczać się dużą elegancją i powiedzmy nawet luksusem. Zrobimy ją więc z crêpe de chine'u, crepe satin'u, czy bodaj lamy lub koronki. Rozumie się samo przez się, że będzie to strój raczej reprezentacyjny i stosunkowo mało wygodny, chociaż olśniewający patrzących przepychem materiału i deseni. W piżamie takiej może pani zasiąść do śniadania, natomiast na plażę, przed kąpielą czy gdzieś w cichej uroczej wsi — będziemy



Wytworna toaleta wieczorowo-balowa uzupełniona krótkim bolerkiem. Długie jedwabne rękawiczki i pęk kwiatów, na głowie bajecznie wykańczają tę fascynującą kreację, której pointą jest rozrzutnie bogaty haft angielski.

nosiły piżamę ze zwykłego, kwiecistego kretonu, lub też jedwabnego, deseniowego płócienka.

Dorota Weiss

Damy ze świata dyplomatycznego

Od niepamiętnych czasów z pojęciem dyplomaty związało się wyobrażenie o czymś, a raczej o kimś eleganckim, wspaniałym, świetnie ułożonym i wychowanym, wytwornym od stóp do głów. „Wielka polityka", którą robią dyplomaci, wymaga „białych rękawiczek". Te białe rękawiczki wraz z nieodłączonym monoklem, nieposzlakowanym uczesaniu głowy, błyszczącym cylindrem i innymi atrybutami tego, co nazywa się „comme il faut", — oto co znamionować ma dyplomatę.

Nawet przedstawiciele „proletariackiej ojczyzny robotników i chłopów", wbrew spartańskiemu dogmatowi prawowiernego komunizmu, pod względem zewnętrznym starają się nie tylko nie odbiegać od tego szablonu, ale nawet w miarę możliwości prześcigać go.

B. polpred w Paryżu, Rakowski, uważany był w swoim czasie za Petroniusza dyplomatycznego świata. Posiadał on 96 garniturów i uchodził za jednego z najelegantszych dandysów Paryża. Były komisarz ludowy spraw zagranicznych Litwinow ubierał się wyłącznie u słynnego krawca londyńskiego Pocla.

Podczas jednak gdy dbałość o wygląd zewnętrzny jest tak ważna dla samego dyplomaty — jest ona częstokroć ważniejsza dla jego żony. Żona posła czy ambasadora uważana jest bowiem za nieoficjalną przedstawicielkę elegancji, szyku a nawet piękna kobiet swego kraju.

O żonach dyplomatów niewiele pisze się w dziennikach, wiedzą o nich tylko ci, którzy bezpośrednio stykają się z zamkniętym światem korpusu dyplomatycznego. A tym czasem za kulisami wielkiej polityki damy ze świata dyplomatycznego odgrywają bardzo znaczną rolę.

Na damach korpusu dyplomatycznego spoczywa bardzo poważny obowiązek podtrzymywania prestiżu swego męża i swego kraju. Prestiż ten podtrzymywany jest zarówno wyglądem zewnętrznym, jak i manierami, taktem i miejętnością obchodzenia się z ludźmi. Trudno wręcz wyobrazić sobie jak wielu dyplomatów zawdzięcza swą karierę i powodzenie służbowe swym małżonkom, ich taktowi i elegancji. I odwrotnie, wielu wspaniałych karier rozbiło się dzięki temu, że dama korpusu dyplomatycznego nie chciała, czy n.e umiała być. właśnie „damą" w pełnym znaczeniu tego słowa.

W świecie dyplomatycznym Europy opowiadają niezwykłą historię, jaka miała miejsce z żoną pewnego dyplomaty francuskiego, akredytowanego przy jednym z europejskich dworów królewskich. Za autentyczność tego faktu ręczą wszyscy, tym bardziej, że wywołał on głośne konsekwencje.

Dyplomata francuski wraz z małżonką został zaproszony na śniadanie przez króla do jego willi nadmorskiej. Mimo, że śniadanie nosiło charakter zupełnie oficjalny, pani ambasadorowa, uważając, że na letnisku morskim obowiązują inne zwyczaje, aniżeli w stolicy, uparła się, że weźmie ze sobą swego ulubieńca, szkockiego teriera. Psiak był widocznie z przekonania demokratą i nie ocenił śniadania w obecności koronowanej osoby. Znudziło mu się leżenie pod krzesłem swej pani i zaczął biegać po brzegu.

Wtedy właśnie stało się nieszczęście. Piesek potknął się i spadł do morza. Nie umiejąc pływać, zaczął tonąć. Gdy pani ambasadorowa to ujrzała, zapomniała o świecie Bożym, o obecności króla i z rozpaczliwym krzykiem:

— Pierre, ratui — pobiegła ku morzu.

Ale Pierre zdawał sobie sprawę ze swych obowiązków i udając, że nic się nie stało, kontynuował rozmowę z królem. Energiczna kobieta, widząc, że mąż zachowuje się, jej zdaniem, niewłaściwie, sama rzuciła się na pomoc swemu ulubieńcowi i skoczyła do wody. Ale nie umiejąc pływać, po chwili zaczęła głośno wzywać pomocy. Król przerwał rozmowę, a nieszczęśliwy mąż zamarł w przerażeniu na miejscu. Zdawał sobie sprawę, że nastąpiła katastrofa. Nie mógł odejść od króla, a zdrugiej strony, tonęła wszak jego żona. Sytuację uratował szef protokółu, który skoczył do wody i wyciągnął panią ambasadorową wraz z jej pieskiem. Król śmiał się serdecznie, uśmiechnął się też szef protokółu. W tydzień później ambasador został odwołany...

Zniszczyła karierę swemu mężowi również żona pierwszego sekretarza poselstwa włoskiego w Londynie w czasach jeszcze niezbyt dawnych. Gdy dowiedziała się, że król nadał jej mężowi order brytyjski, oświadczyła głośno, zbyt głośno:

— Mój mąż powinien otrzymać conajmniej order „Podwiązki", a nie tę blaszkę...

Następnego dnia pierwszy sekretarz przestał być członkiem korpusu dyplomatycznego.

W kołach dyplomatycznych opowiadają również humorystyczną historię o żonie posła sowieckiego w jednej ze stolic europejskich. Nie odznaczała się ona specjalną inteligencją i mąż zawsze musiał w sprytny sposób ratować ją w niebezpiecznych momentach. Ale pewnego dnia, gdy w salonach poselstwa siedziała pewna angielska lady, władająca dość znośnie językiem rosyjskim, polpred nie był obecny. I nastąpiła katastrofa. Gość skarżył się przed gospodynią, że cały dzień wczorajszy cierpiała wskutek migreny.

— Ach, pani miała migrenę — zawołała gospodyni — jakże pani zazdroszczę.

— Dlaczego? — zdziwiła się Angielka.

— Mój Boże, ja od dzieciństwa marzę o migrenie...

RZECZY CIEKAWE Z ŻYCIA KOBIET

Łódź miastem Kobiet

Żadne bodaj miasto w Polsce nie może chyba wykazać się tak wielką przewagą liczby kobiet nad liczbą mężczyzn, jak Łódź. Na 1 stycznia 1937 roku Wydział Statystyczny zarejestrował 653.402 mieszkańców. W liczbie tej, było 298.572 mężczyzn i aż 354.830 kobiet. Czyli przewaga „płci słabej" wynosiła aż 55.238 osób.

Ponadto 55 tysięcy kobiet nie znajdzie w Łodzi mężów i skazanych jest na samotność i staropanieństwo. Kobiety łódzkie jednak wykazują wiele odwagi życiowej i dzielności. Świadczą o tym inne dane cyfrowe, dotyczące zatrudnienia w przemyśle łódzkim.

W styczniu 1937 roku na ogólną liczbę robotników zatrudnionych w zakładach pracy w Łodzi, wynoszącą 106.795 osób, pracowało 54.831 mężczyzn i 50.532 kobiet. Są to dane ilustrujące pracę we wszystkich zawodach. Wyróżnia się tutaj przemysł włókienniczy, który zatrudnia większą liczbę kobiet aniżeli mężczyzn.

W tym samym bowiem okresie fabryki włókiennicze zatrudniały 46.041 kobiet na — 40.805 mężczyzn.

Gdynia eldoradem dla płci pięknej

Gdynia stanowi jedno z nielicznych miast w Polsce, gdzie jest więcej mężczyzn niż przedstawicielek płci słabszej.

W tej „mniejszości" mieści się za tym cała tajemnica powodzenia miłych gdynianek, które w przeciwieństwie do swoich sióstr w innych miastach — w Warszawie, Toruniu, czy słynącej z przewagi płci pięknej Bydgoszczy — znajdują się w sytuacji uprzywilejowanej i — przyjmując hołdy wielbicieli, mogą lekką rączką rozdzielać „kosze" i „arbuzy", w słusznym przekonaniu, że należą do zdobywanych, a nie zmuszonych do zdobywania leżących u ich stóp panów i władców. Tajemnica powodzenia mniejszości Gdyni ilustrują zresztą również najlepiej cyfry.

Jak wynika ze skrupulatnych zapisków, dokonanych przez Miejskie Biuro Statystyczne w r. 1937, pochodnie hymenu w roku tym zapaliło prawie 1.000 (dokładnie 994) — gdynianek, które — co niedyskretnie zdradza ta sama statystyka — cieszyły się w tym szczęśliwym okresie powodzeniem rekordowym, bez różnicy wieku. W pochodzie do ołtarza, najliczniej reprezentowane były gdynianki młode, pamiętające zaledwie czasy powojenne, chociaż i generacja pań starszych nie wyłączając tych, które już przed rokiem 1900 dojrzały do zamążpójścia, w tym roku w pokaźnej liczbie stanęła na ślubnym kobiercu. Największym i zasłużonym powodzeniem wśród szczęśliwych narzeczonych cieszyły się gdynianki w wieku 20 — 24 lat (373 małżeństw na 994), nieco mniejszym w wieku 29 lat (358). Po trzydziestce wyszło w r. 937 zamąż 158 kobiet, po czterdziestce 13. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że czterdziestka stanowi ostateczną granicę nadziei i powodzenia gdynianek. I tę wątpliwość rozwiewa prawdomówna statystyka, stwierdzająca że wśród młodych mężatek gdyńskich najnowszej daty (przed rocznicą ślubu) znajdują się dwie panie liczące nieco więcej niż 43 lat a mniej niż 49 lat i dwie, które dźwigają szósty krzyżyk na barkach rozżarzyły ogniska domowe z niemniejszym zapałem niż... dwudziestolatki. Modne szesnastolatki i dziewczęta od lat 19 zrzekały się w roku 1937 wolności panieńskiej chętnie, o czym świadczy liczba 68 małżeństw zawartych przez niepełnoletnie gdynianki. Z odważnych tych dziewcząt 7 wyszło za mężczyzn liczących 20—24 lat, 42 za mężczyzn w wieku 25 do 29 lat, 17 za mężczyzn po trzydziestce, a dwie wydały się za mężów dwukrotnie od siebie starszych.

Dla przeciwstawienia dodać należy, że jedna z młodych mężatek po pięćdziesiątce (lecz przed sześćdziesiątką) wyszła za swego rówieśnika, druga natomiast oddała rękę, serce i posag szczęśliwcowi, który liczył sobie mniej niż 34 lata.

Tak więc, czy inaczej, gdyniankom słusznie zazdrościć mogą szczęścia i szans małżeńskich wszystkie urocze niegdynianki w Polsce.

EUGENIUSZ SEW.

Dziewczę szmaragdowej puszty

(NOWELA)

Hodmözo — kipiało jarmarcznym rozgwarem. Okolone zewsząd wstęgą powolnej, ciągle zamyślonej Cisy — od wieków było siedliskiem buńczucznych Kumanów. Wojownicze zagony dzikich, porywistych hord, pod powłoką dziejów uśmierzył przemożny czas. Połowieckie plemię przecierżgnęło się z wojowników, w spokojnych patserzy, słynących ze znakomitych stadnin.

Zamknięta w karpackiej podkowie rozległa puszta igrała falami bujnych, szmaragdowych traw. Upstrzony jaskrawym kwieciem bezkresny niż — zlewał się w dali z niebieską sawanną, — strojną w kępiaste, przewiewne obłoczki. Wiatry uginały czuprynę bujnego stepu do brzegów królowej puszty, majestatycznej Cisy, co pola wilgocią sprażony słońcem węgierski niż.

Słynne targowice Hodmözo, ubijało stale tysiące kopyt ognistych rumaków. Królewski 2 Pułk Honwedów, uzupełniał remont. Gejza Jokai — żelazny wachmistrz pułkowy, był w swoim żywiole. Do serca pułku — swego szwadronu — wybierał najdzikszc rumaki. Uwagę znawczego oka przykuł od razu wspaniały kasztan, trzemany na uzdzie przez Marikę. Zaglądając zalotnie w oczy właścicielki, spytał wąsacz, ile żąda za konia. Poprawiając energicznie kołnierz, młynkował w ustach długim, cienkim cygarem. Speszony obojętnością na jego zaloty, a także milczeniem dziewczyny klepiąc niecierpliwie trzciną lśniące cholawy butów, spytał ponownie:

— Ile żądasz? — powiedz!

— Sześćset pengö — bez uzdy — padła odpowiedź, jakby obudzonej ze snu Mariki.

— Cha, cha! — roześmiał się Gejza, a podkręcając zamaszyście wąsika burknął:

— Oszalała, albo nigdy jeszcze koni nie sprzedawała.

— Nie! — zaprzeczyła spokojnie, ale stanowczo czarnooka Marika. Spróbuj konia — przekonasz się, że wart podanej ceny.

Gejza — momentalnie podskoczył do konia, a zdejmując uzdę — przyłożył kilka tęgich razów trzciny. Koń — jak oszalały, ruszył do galopu, z furią przesadzając wysoką barierę i pędząc na oślep przed siebie w step.

— Teraz chwytaj! — śmieje się na całe gardło dowcipkował wachmistrz.

— Pokaż jaki z ciebie zuch — czarniutka!



Słynny norweski pisarz Knud Hamsun ukończył 80 lat. Dzieła Humsuna przełożono na wszystkie prawie języki świata.

Krótki, przenikliwy gwizd Mariki wystarczył by rozhukany koń zawrócił i znalazł się obok właścicielki. Stając spokojnie, położył piękną głowę na ramieniu dziewczyny.

— Podły — wyrzekła Marika, bić konia?

— Pójdę do komitatu i spytam, czy tak ,szanuje się konie.

— Ho, ho! — nie tak prędko mała — grubym basem wtórował Gejza, koń do mnie należy. Masz kwit, idź, gdzie zamierzałaś. Dostaniesz zapłatę.

Przy tych słowach podniósł uzdę i wręczył wraz z kwitem dziewczynie.

— Skąd pochodzisz? — dorzucił, strój zdradza Csabę.

— Nie twoja rzecz! — rąbnęła smagła piękność — oddalając się pospiesznie z targowicy.

W komitacie podjęła gotówkę. Z bólem serca zawijała pęk banknotów do haftowanej chusteczki. Jej kasztan, wyhodowany przez nią od źrebaka nie zazna pieszczot, ale Isztwan — tak Isztwan, wróci do zdrowia.

Brat zaniemógł ostatnio, wycieńczony służbą w pokojach pysznych Aranych. Wątły z natury, zapadł na płuca. Służba lokaja skończyła się. Jedynym lekarstwem był wyjazd w cudowne, czarodziejskie góry, o których tyle słyszała od młodego dziedzica Tibora, co w domu rodzinnym bywał miłym gościem, jako towarzysz dziecinnych zabaw.

Isztwan się ucieszy — rozmyślała Marika, wracając piechotą do domu. To nic, że ojciec będzie na nią napadać. Cóż? — zaskorupiały w pojęciach stary Arpad — nie uznawał tego rodzaju leczenia.

Jakże pozbyć się konia, którym objeżdżał rozległe winnice i dalekie stadniny Aranych? Skromny deputat i kąt dożywotni nie wystarczały na umieszczenie syna w lecznicy górskiej. Czyż piechotą ma na stare lata cwałować — dlatego, żeby syna wysyłać w jakieś tam góry? NNie! Arpad wie, że przeznaczenia nie można ominąć. Marika będzie biegać? Czyż kobieta może wyręczyć mężczyznę? Niech idzie do Pesztu, do ciotki, zapracuje na leczenie darmozjada, jak ostatnimi czasy wyrażał się o Isztwanie, co wałęsał się po kątach.

Jakoś tam będzie pocieszała się w myśli Marika. Byle zdrowie — a troski — nie uciekną. Późno wieczorem skradała się do zagrody opodal Csaby. Ojca w domu nie zastała, Jak zwykle przesiadywał w karczmie przy kuflu tokaja. Isztwan — leżał na tapczanie, ciężko oddychając. Zbliżyła się, ucałowała alabastrowy policzek i rzekła cichutko:

— Milutki, ubieraj się prędko. Pojdziemy na kolej. Pojedziesz w góry! Wiesz — daleko — w białe, cudowne góry, gdzie czeka na ciebie zdrowie. Ty będziesz silny — ty musisz być silny!

— Marika! — sprzedałaś kasztana? — spytał podnosząc się z posłania Isztwan.

— Nie! — skądby maleńki, uspakajała siostra. W mieście spotkałam Tibora. Pożyczyłam. Pójdę do Pesztu, zapracuję — oddam prędko — zdrowa jestem i pełna sił.

— Czy ojciec wie? — spytał podejrzliwie Isztwan.

— Tak! — czyż uczyniłam coś złego? Zbieraj się prędzej milutki, możemy spóźnić pociąg.

— — — — — — — — — —

Gdy koła lokomotywy, dudniąc po stalowej drodze unosiły w góry Isztwana, Marika długo stała na peronie, nie mogąc odważyć się na powrót do domu.

Ojciec — napewno wrócił już z karczmy. Pijany, może nie spyta, gdzie kasztan, ale co będzie rano? Przecież ma wyjechać w pusztę.

O świcie wróciła do domu, po spędzeniu nocy nad brzegami Cisy.

Stary Arpad, klnąc siarczyście, wyrzucił ze stajni derkę — a za nią poleciało daleko na dziedziniec lekkie siodło.

— Grzmot, by ją pogruchotał! Gdzież go podziała?

Dysząc z gniewu i uniesienia, wrzasnął na dziewczynę, gdy spostrzegł, jak skrada się dziedzińcem do chaty:

— Dawaj kasztana! prędzej!

Marika stanęła w miejscu, jak wryta. Zasłaniając rękoma twarz i głowę przed razami knuta, milczała uparcie.

— Gadzino, mów gdzie kasztan? — sapiąc nalegał Arpad.

I tym razem nie było odpowiedzi.

— Ha! poczekaj! wiem już, sprzedałaś! Wierzyłem, że jedziesz do Hodmözo po doktorach, radzić się, co począć z tym zdechlakiem. Tak...

Knut gwizdał w powietrzu z trzaskiem, padając gdzie popadło na Marikę. Dziewczyna upadła na ziemię, ale milczała uparcie dalej.

— Wyrodna! gadaj, komu sprzedałaś konia?

— Gej... Gej... — wybełkotała wreszcie zanosząc się od łez i bólu Marika.

— — — — — — — — — —

Interwencja Aprada w pułku, a nawet list Zarządu Dóbr Aranich — nie odniosły skutku. Odpowiedziano, że koń nie może być obecnie ani wykupiony, ani zwrócony, ponieważ wcielony do szeregów, musi odbyć pięcioletnią służbę. Ewentualnie po tym terminie mogą być prowadzone pertraktacje pod warunkiem uiszczenia kosztów utrzymania konia, no i wyłożonej na kupno sumy.

Stary ekonom — zapożyczając się — nabył wycieńczoną remundę — chudą, zmizerowaną szkapę, na której tłukł się dalej po stadninach i winnicach nad Kiereszem. Marika — uciekła z domu, nie mogąc znosić stałych wyrzutów ojca, uzupełnianych wymową bata. Piechotą udała się do Pesztu.

Ciotka — nie poznała krewniaczki. Maleńka, płochliwa sierotka, jaką przypominała sobie jeszcze z pogrzebu siostry, z poczwarki — przedzierżgnęła się w dorodną — kruczowłosą piękność. Smagłe policzki, przyprószone lekko różem zdrowia, jaśniały czerstwością. Spod długich — wachlujących rzęs — spozierały kare oczy, wymowne, tryskające energią i siłą. Wysłuchała w skupieniu opowiadania Mariki i rozpłakała się. Ucierając łzy, przygarnęła biedaczkę.

W stolicy prowadziła skromny sklepik ze słodyczami i napojami chłodzącymi. Dziewczyna spadła jej, jak z nieba. W podeszłym wieku — z trudem prowadziła skąpy interes. Sklepik podupadał, gdyż właścicielka — ucinając częstokroć słodką drzemkę — traciła klientelę, która nie chcąc przeszkadzać staruszce, uczęszczała do sąsiednich bud.

Marika wyręczała ciotkę wyśmienicie. Rozsiewając wokół siebie podziw i zdumienie klientów, na prawo i lewo rzucała czarujące, słodkie uśmiechy, obsługując nad wyraz sprawnie gości, udających się na tor wyścigowy. Obznajomiona z etykietą przestrzeganą pedantycznie przez dumnych Aranich — posiadła sztukę umiejętnego podawania przeróżnych gatunków wód musujących i całego szeregu słodyczy.

Rychło po ukazaniu się w interesie Mariki ciotka musiała poświęcić swoją komnatkę na poszerzenie sklepu i przyjąć do pomocy drugą panienkę. Niepokaźny sklepik przeistoczył się teraz w małą cukierenkę — odwiedzaną rojnie przez dżokejów i bywalców toru.

(Dokończenie w następnym numerze).

CHWILA ZASTANOWIENIA

REBUS

uł. F. Gałecki czł. Warsz. Kl. Szar.

W rebusie mieści się bardzo ważna osóbka z tyg. „M. P." o następujących początkowych literach: M. G.



SZARADA

uł. P. W. Tyra

Pierwsze drugie strumyk mały,
Lub też owad doskonały —
Trzecie także mała rzeczka —
Zbór ludzi, gdzie czasem sprzeczka.
Całość, nasza rzeka, lecz nie mała,
Pomimo, że z dwóch pierwszych powstała.

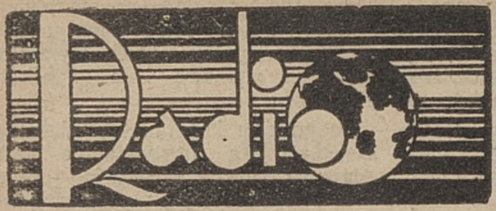
Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 18 sierpnia br.

Rozwiązanie kryptogramu z nr. 31 „Moich Powieści": „To los mój senne królestwa posiadać, nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych". Słowacki.

Trafne rozwiązanie nadesłali p. p.: Dorożyński — Poznań, Migocki — Poznań, Gruszka Jan — Warszawa.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p. Dorożyńskiemu z Poznania i Gruszce z Warszawy.



Niedziela, dnia 13 sierpnia 1939 r.

7.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Piekar Wielkich na Śląsku 11.40 Transmisja z Morszyna 12.03 Poranek muzyczny 13.00 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 13.15 Muzyka obiadowa 14.40 „Czytamy Mickiewicza" — „Pan Tadeusz" — Księga II 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Sergiusz Rachmaninow: Trio d-moll op. 9 17.15 „Kto odpowie" 17.30 „Podwieczorek z ogródka" (ze Lwowa) 19.00 Teatr Wyobraźni — „Wojna 1914 r." 19.30 Orkiestra Filharmonii Londyńskiej i J. Szigetti — skrzypce 21.15 Muzyka fimowla i taneczna W przerwie o godz. 22.00 skecz „Wywczasy".

Poniedziałek, dnia 14 sierpnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Audycja dla kupców 12.03 Audycja południowa 14.45 Teatr Wyobraźni dla młodzieży „Klimek Bachleda" 15.15 Muzyka z Łodzi (popularna) 16.20 Arie i pieśni (z Poznania) 16.45 Kronika naukowa: Nauki ekonomiczne 17.00 Muzyka do tańca 18.00 Recital fortepianowy Margerity Trombini-Kazuro 18.30 Franciszek Schubert kwartet Es-Dur op. 125 Nr. 1 (z Łodzi) 19.00 Audycja strzelecka 19.30 „Przy wieczerzy" (z Poznania 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert solistów 21.50 Echa mocy i chwały 22.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 15 sierpnia 1939 r.

7.00 Audycja poranna 0.75 Pieśni rycerskie i żołnierskie 7.50 „Dzisiejsza rocznica" — gawęda dla wsi 8.15 Pieśni ku czci Najświętszej Marii Panny (z Wilna) 8.30 Polskie marsze w wyk. Ork. Marynarki Wojennej 9.00 Transmisja nabożeństwa 12.03 Poranek muz. w wyk. Ork. P. R. 13.00 Wyjątki z pism J. Piłsudskiego 13.15 Muzyka obiadowa z Katowic 14.45 Bohaterowie przestworzy: „Ponad dwoma lądami" — pogad. 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Miniatury kwartetowe (z Krakowa) 17.00 „Matka Boża w lit. polskiej" — szkic 17.15 Muzyka (płyty) 17.30 „Podwieczorek przy mikrofonie" „Na święto żołnierza polskiego" transm. z przystani Pocztowego Przysp. Wojsk. na Wiśle w Warszawie 19.00 „Miecz i słowa": „Bolesław Chrobry" — audycja ze Lwowa 19.45 Paderewski gra (płyty) 21.10 Muzyka taneczna ze Lwowa W przerwie o godz. 21.50 „Żołnierz i dziewczyna" wesoła audycja.

Środa, dnia 16 sierpnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Pogadanka turystyczna 12.03 Audycja południowa 14.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.15 Koncert popularny 15.20 Recital śpiewaczy Stani Zawadzkiej 16.50 Lato: „Noc w starym lesie" — pogadanka 17.00 Muzyka do tańca z dancingu „Paradis" 18.00 Słynne symfonie 18.50 Echa mocy i chwały 199.00 „Przy wieczerzy" z Katowic 20.10 Odczyt wojskowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Nadziei Padlewskiej (z Poznania) 21.40 Nowości literackie z Krakowa 22.00 Lekka muzyka węgierska (płyty).

Czwartek, dnia 17 sierpnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.20 Pogadanka sportowa 12.03 Audycja południowa 14.45 Zagadka literacka ze Lwowa 15.05 Muzyka popularna 16.20 Utwory fletowe w wyk. Feliksa Tomaszewskiego (z Torunia) 17.00 Muzyka do tańca 18.00 Opowieść o Schubercie — 4-ta audycja z Poznania 19.00 „Wielkie włóczęgi morskie": „W kręgu legend i mgieł" fragmenty z legend średniowiecznych oraz pism Kolumba i Pigafetta 19.20 Przy wieczerzy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Muzyka fortepianowa w wyk. Erno Szegedi i Marty Vasarhely (Węgry) 21.30 „Na polach popiołów" — słuchowisko poetyckie z Wilna 22.00 Koncert w wyk. Rozgłośni Wileńskiej.

Piątek, dnia 18 sierpnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Kłopoty i rady: „Jak ukryć zdobyty skarb" — audycja z Poznania 12.03 Audycja południowa 14.45 Bohaterowie przestworzy: „Lot nad oceanem" — pogadanka 15.00 Koncert popularny w wykonaniu Ork. Rozgł. Wileńskiej 16.20 Recital organowy Jana Kucharskiego 16.45 Rozmowa z chorymi ks. Michała Rękasa ze Lwowa 17.00 Muzyka do tańca 18.00 Recital śpiewaczy A. Szlemińskiej 18.25 Kwartety Beethovena 19.00 „Kipling, poeta brytyjskiego imperium" — szkic 19.20 Stany Zjednoczone jako teren polskiej ekspansji kulturalnej — pogadanka z Wilna 19.30 Przy wieczerzy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Ilustracje muzyczne do utworów scenicznych 22.20 „umanizm literatury francuskiej" — szkic literacki 22.40 Recital skrzypcowy Z. Roeslera (z Gdyni).

Sobota, dnia 19 sierpnia 19399 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Z mikrofonem przez Polskę: „Na odpuście w Trokach" montaż dźwiękowy 12.03 Audycja południowa 14.45 Audycja dla dzieci: „Koszałki opałki z radiowej kobiałki" 15.15 Muzyka popularna w wyk. zespołu Związku Muzyków Chrześcijan 16.20 Utwory fortepianowe w wyk. Władysława Kędry 17.00 Muzyka do tańca z dancingu „Cafe Club" 18.00 Koncert popularny — transmisja z Domu Żołnierza w Poznaniu 19.00 „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz" — wesoła powieść radiowa (ze Lwowa) 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 Melodie ziemi polskiej 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert z Międzynarodowej Wystawy Wodnej w Liège (Leodium) Transmisja z Brukseli W przerwie o godzinie 21.40 szkic literacki.



STRASZNA ZEMSTA

Szef firmy, nieprzytomny ze złości, do swego urzędnika:

— Posyłam pana do Rozbickiego, aby pan zainkasował weksel, a pan nietylko nie przynosi pieniędzy, ale pozwala się spoliczkować przez tego łotra i na dobitek zamknąć na całą noc w jego biurze. Obok pana jest telefon, a pan nawet nie dzwoni po policję.

Urzędnik, patrząc śmiało na szefa, mówi:

— Nie miałem czasu!

— Jakto, nie miał pan czasu, a co pan robił przez całą noc zamknięty w biurze?

— Mściłem się — odpowiada urzędnik. Przez całą noc rozmawiałem przez telefon Rozbickiego z Bueonos Ayres.

PIEWSZY LOTNIK

P. prof. Kształcikiewicz, dbając o swoich pupilów, wprowadził w wolnych godzinach pogadanki dokształcające.

Na pogadankach poruszał bardzo wiele różnych tematów, a po pewnym czasie egzaminował uczniów.

— Lotnicki — zapytał pewnego dnia — już z racji swego nazwiska powinieneś wiedzieć, kto był pierwszym lotnikiem na świecie.

— Pierwszym lotnikiem — zastanowił się bystry uczeń — już wiem, panie profesorze, pierwszym lotnikiem był Adam.

— Jaki Adam?

— Na ten panie psorze... rajski Adam... ten mąż od pani Ewy, tej, pan profesor wie... Ewy, matki rodu ludzkiego.

— Co ci do głowy przychodzi? Dlaczego Adam miałby być pierwszym lotnikiem?

— A bo on, panie profesorze, pierwszy wyleciał z raju.

ODPOWIEDŹ

— Dlaczego na każde moje pytanie odpowiadasz pytaniem?

— Czy rzeczywiście tak robię?

PRÓBA WIERNOŚCI

— Dziś zrana przypadkowo widziałam, jak całował ciebie gazeciarz, Anno. Od jutra będę sama odbierać gazetę.

— Proszę bardzo, jestem ciekawa, czy będzie mi wierny.

WSTYD

Pomocnica domowa, Katarzyna, pożyczyła sobie bez wiedzy chlebodawczyni jej suknię balową i poszła z narzeczonym na zabawę.

— Jak Kasi nie wstyd — robi jej wyrzuty pani domu.

— E, wstyd to mi było — odpowiada skruszona Kasia. Suknia jest taka wycięta, że siedziałam cały czas na dekolcie.

NAIWNA

— Coby pani zrobiła, gdybym panią pocałował?

— Bo ja wiem. Jestem taka nie doświadczona... A coby mi pan poradził?

OSTATECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

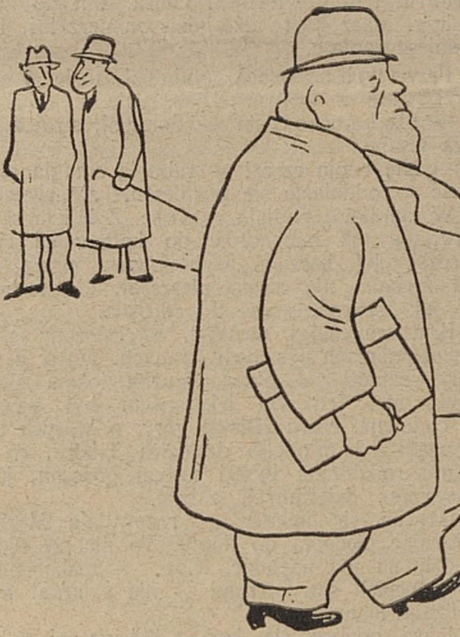
Gdy Flauberta zapytano, jakie lubi kobiety, mądre czy głupie, odpowiedział:

— Takie, które zdają sobie sprawę ze swej głupoty i te, które nic nie wiedzą o swej mądrości.

DUMAS - SYN O OJCU

Kiedy Dumas - synowi opowiadano po raz niewiadomo który jeden z licznych kawałów jego ojca, odrzekł:

— Cóż chcecie? Tym urwisem los mnie obarczył, ale... wtedy byłem jeszcze bardzo mały.



Przecież ten człowiek ledwo chodzi...
Właśnie dlatego bank powierzył mu stanowisko kasjera.

(Mucha.)

PRZEDPŁATA: już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P K O. Nr. 207 393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedzialny: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.